

IRENA STABLEWSKA



MILJONÓWKA

Księgarnia J. Wojciecha.

Dar
Drukarni i Księgarni
św. Wojciecha w Poznaniu

MILJONÓWKA

8 K

I. STABLEWSKA

MILJONÓWKA

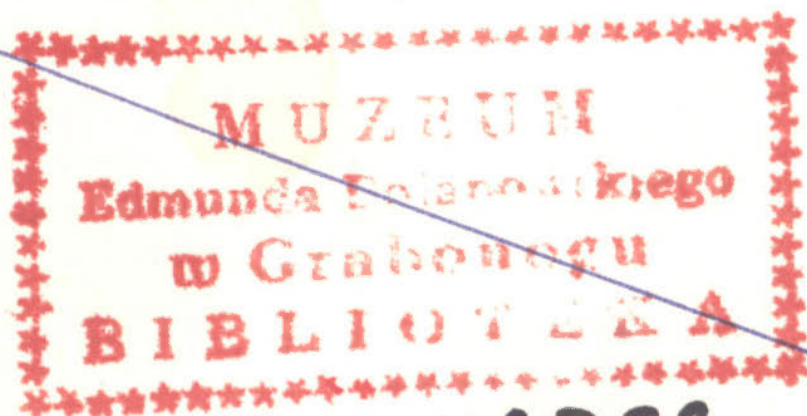
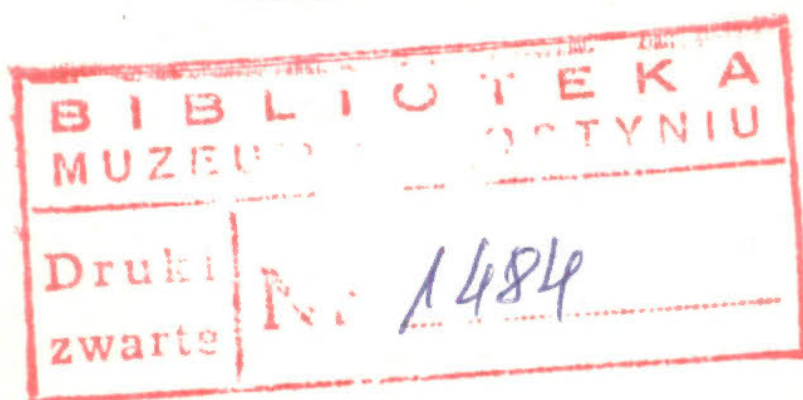
(ROK 1922 NAD WIELKOPOLSKĄ WSIA)

POWIEŚĆ

WINIETA OKŁADKOWA
PROF. STAN. SAWICZEWSKIEGO



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN



~~0600~~ MGR36

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.

U babuli.

Boże Narodzenie tego roku Pańskiego 1921-go śliczną bielą okryło ziemię. Pod wieczór mróz trochę zwolnił — wiatr umilkł — cisza świąteczna zaległa dokoła; — drzewa w parku wielkodomickim stały zaśniewane i tak nieruchome jakgdyby nigdy nie były zaznały wichrów ni burzy. Ale podczas gdy w naturze błogi spokój witał przybycie na świat Bożego Dzieciątka — w wielu sercach ludzkich grały jeszcze prze-smutne echa wojenne... Żal oczekiwania, niepo-kój o życie drogiej istoty plątał się z troskami drożyźnianemi, obawą o jutro... Uczucia lęku, wzajemnej nieufności wybujały w nowej Ojczyźnie, jak kwiaty cmentarne na mogiłach tych, którzy odeszli w zaświaty.

Podczas gdy rodzina Domickich, uszczuplona ubytkiem bohaterskiego chłopca, zaginionego w bolszewickiej opresji, spędzała smutno święta pod okiem sędziwej matki i babki, Jagna Doleżówna korzystając z wolnych popołudniowych godzin świątecznych, pobiegła do babuli i wujków, aby się z nimi nacieszyć.

— Pochwalony! — zawołała od progu, wpadając z impetem do izby, gdzie troje zgromadzonych ludzi przywitało ją z radością.

— Na wieki wieków.

Stara Kołodziejowa otwarła ramiona, by ulubioną wnuczkę do piersi przycisnąć.

— Pójdźno tu, Jagódko, bliziutko, popatrz na mnie, chcę ci się przyjrzeć, kiej wyglądasz na gębie, bo gadali mi ludzie, że przeszłaś tę brzydką influenzę, co to po świecie panuje.

— E! babulo, kaszlałam trochę, ale dziś śladu niema choroby, zdrowam kiejby ryba.

Wydobyła się uścisków babuli, z pod badawczych jej oczu, i przypadała do ręki to wuja Kaspra, statecznego kowala, to wuja Wojciecha, młodszego brata matki, który, że był kawalerem, przywiązany był do dziewczęcia, niby do rodzonnego dziecka.

Ściskali ją kolejno wołając:

— Zdrowe nasze dziewczę, nie przymierzając jak jagoda wygląda.

— Miała słusność chrzestna pani Bączkiewiczowa, że cię tak przezwała, żadna jagoda w lesie nie powstydzilaby się twoich rumieńców.

— Nie psujcie mi dziewczuchy — zawołała babula.

— A cóż tam we dworze, dużo zjechało gości? Dużo roboty?

— Robota bo jest, choć co do gości, to jeno sami swoi. Państwo nie spraszało obciejszych, że to wnuka zaginionego niema.

— Prawda, prawda — kiwali głowami wujowie — i ten zmarniał nieborak. Szkoda go!

— Znałem go od dziecka, dzielny był i bardzo przystępny — mówił Wojciech — iluż to, mój Boże, zabrała krwawa wojna, nie zliczyć!

— I mój Jędrak oberwał srodze — westchnął Kasper. — Taki był siłacz, taki do roboty zdatny i chętny, a teraz...

— Gorzej byłoby jeszcze — wtrąciła Kołodziejowa, zabierając się do gotowania kawy — gdyby na duszy poniósł uszczerbek, jak tylu innych, co na wojnie wiarę stracili i nauczyli się tak przewrotnych zasad, że aż skóra cierpnie, gdy się ich mowę słyszy.

Spojrzała na wnuczkę porozumiewawczo, ale ta skłoniła głowę, by nikt rumieńca nie dostrzegł.

— Pomogę wam, babulo, gospodarzyć — zawołała i wzięła się do nakrywania stoliczka, który stał pod oknem.

Wojciech spoglądał na siostrzenicę z współczuciem. Dowiedział się i on o tem, co po wsi mówiono, że Tomasz Bryl zachodzi do panny z miasta, a że znał nawylot serce Jagny, że był jej powiernikiem i przyjacielem, przeczuwał, ile ta wieść żalu i smutku nagromadzić musiała w duszy dziewczęcia. Wyszedł z izby i wróciwszy po chwili, wsunął do ręki Jagny kilka papierków.

— To na gwiazdę, Jagódko — wyszeptał. A gdy mu dziękowała, szczerze uradowana, dodał: — Niech ci szczęście przyniosą te pieniądze, później dodam więcej, chciałbym, abyś kupiła sobie milionówkę.

— Miljonówkę! — zawołała Jagna z świecami oczyma — mam myśl wujka. Ciotka Brylowa okrutnie życzy sobie mieć milionówkę, ale jeszcze połowy pieniędzy jej braknie, więc jej zaniosę moją część i razem do kupy nabędziemy

ten papier. O Jezu! coby to była za radość, gdybyśmy wygrali. Rety! ani myśleć o tem nie śmiem.

— Dobrze zrobisz, Jagna — rzekła Kołodziejowa — gdy do kupy z Brylową złożysz tyśiączki. Okrutnie mi jej żal, bo ma frasunków dużo, a najwięcej wedle Tomka.

— Tomek z natury dobry chłop — przerwał matce Wojciech, z obawy, aby zbyt niemiłostowaniem na Tomka nie zraniła serca Jagny — tylko dostał się w sidła tego zatracenca, tego galgana Jura, który pod pozorem obrony czy opieki nad robotnikami i małorolnymi, sieje bunt, mściwość i nienawiść.

— Dziwię się, że Tomasz, który kawał świata widział — wtrącił Kasper — a przedewszystkiem napatrzał się bolszewickiej gospodarce w Rosji, wierzy opowieściom Jura i daje się za nos wodzić takiemu kpu, co to niewiada skąd pochodzi, ani kto go rodzi! Przywłókł się tutaj z niemieckich, zapaskudzonych socjalizmem stron i teraz chciałby nad nami przewodniczyć, rządzić polskim chłopem, jak starym pantoflem.

— Głupi Tomek! zamiast się z nami uczciwymi ludźmi trzymać, zapisał się do Jura kompanji, i zobaczycie, jak na tem wyjdzie! Już mu i siostrę swoją swata, gadali dzisiaj przed kościołem, że Tomek do tej pannicy się bierze.

— Ach! matko, ludzie zawsze przesadzą i dadzą — wtrącił Wojciech, widząc mękę, jaką ta rozmowa sprawiła Jagnie. — Może się tam trochę pobałamuci, ale do wesela jeszcze daleko.

— No, co do tego — rzekł Kaspar — tobym przysiągł, że Tomka ta panna, jak ją to zowią:

Klara, tak na dokument na męża nie weźmie. Gdzie jej tam, mieszczce, co się po niemieckich miastach włóczyła razem z bratem, osieść na cichej wsi naszej i pilnować roli i cudzych dzieci.

— Obaczycie, że to się jeno wstydem skończy.

— A tymczasem biedna Brylowa oczy wypłakuje — wtrąciła Kołodziejowa. — Dajno, Jagódko, ten bochen, co tam leży na półce, świeżutki jest, lepszy od placka. No! dalej, chłopcy! i ty, Jagna, bierzcie się do kawy — częstowała matka.

— Ho, ho, co to za zbytek! — zawołał, śmiejąc się, Wojciech. — Prawdziwa kawa! dawnom takiej nie pił, a żytniówka mi nosem wychodzi. Jagódko, przestań się kręcić, siadaj i pij, póki ciepła.

Zasiedli wszyscy czworo, zadowoleni i wypogodzeni, rozkoszując się wybornym płynem, którego woń roznosiła się po całej izbie.

Mężczyźni cmokali, pijąc i godnie uhonorowali, co tylko na stół matka podawała.

Wzrok Kołodziejowej rozpromieniony obejmował miłośnie pochylone głowy synów i wnuczki, a serce jej rosło, przejęte macierzyńską dumą.

Pan Bóg daj jej dobre dzieci. Starszy Kasper, kowal z zawodu, słynął z uczciwości i dzielności w swoim fachu. Miał mir nietylko wśród ludzi z Wielkodomie, ale i w całej okolicy wiadano, że Kasper Kołodziej to człęk żelaznej pracy i woli, na którego zdaniu można było oprzeć się, jak na opoce.

Wojciech nieco słabowitego zdrowia, był włodarzem i zaufanym dworu i administracji. Pilny, sumienny, zapobiegliwy, miał serce dobre i nie było człowieka we wsi, któryby nie lubił Woj-

ciecha. Jagódka wprost przepadała za wujaszkiem.

Najsmutniej powiodło się Rózi, matce Jagny. Powędrowała za mężem do Westfalji i tam przy urodzeniu córeczki zmarła. Wkrótce potem zięć przywiózł dziewczuszkę pod opiekę babki. Chude to było, brudne i krzyczące, a nie ochrzczone. Zaraz na drugi dzień pobiegła Kołodziejowa do państwa Bączkiewiczów i uprosiła panią rządczynię, która ogromnie kochała dzieci, na matkę chrzestną. Pani Bączkiewiczowa, ujrzawszy Jagnę już wymytą, czyściutką i śmiejącą się, powiedziała, że jest śliczna i nazwała ją Jagódką. Odtąd wszyscy we wsi znali ją pod tem imieniem; ojciec jej wrócił napowrót w obce strony, gdzie był dobrze płatny i po dwóch latach harania zmarł, osierocając córeczkę.

Kołodziejowa, oglądając pokolei zebrane gronko, myślała:

— Bóg był na mnie łaskaw i nigdy nie potrafię dość Mu dziękować za pociechy, jakie mam z dzieci. Jeszcze tylko mam nieco kłopotu z Jagną. Ot, zadurzyła się w Tomku, a on nie wart serca tak zacnej dziewczuchy!

Spojrzała znowu na wnuczkę, a wtem zegar wybił piątą.

— Rety! — zawołała Jagna — już tak późno, a ja jeszcze chciałam wstąpić do ciotki. Pani starsza przykazała mi być o szóstej zpowrotem.

— No, to masz jeszcze całą godzinę, Jagódko — rzekł Wojciech, wstając — ale nie zatrzymujemy cię dłużej. Idź z Bogiem, a pokłoń się od nas Brylowej.

— I niech nam da znać, gdy wygracie miljonówkę — dodał Kasper, śmiejąc się w głos z swego dowcipu.

— A pewnikiem, że was zaraz powiadomimy, wuju — odcięła się wesoło Jagna — i wyprawiemy dzieciom waszym suty podwieczorek. Babusia też przyjdziecie, prawda?

— A juści, że przyjdę, córuchno, jeno wpierw trzeba wygrać, a zaś dopiero zapraszać.

— Racja, racja — śmiał się Kasper, grożąc żartobliwie siostrzenicy.

— Ostańcie z Bogiem, babulo!

Spotkanie.

Jagna wybiegłszy z izby Kołodziejów, spieszyła rażno boczną ścieżyną, wiodącą do zabudowań, ogrodzonych wysokim płotem, gdzie mieszkał Tomasz Bryl, wraz z matką i synkami. Oj! znała dobrze tę ścieżynę od lat dziecinnych! Chodziła tedy nieomal codziennie odwiedzać Józkę, o cztery lata starszą krewniaczkę i przyjaciółkę, a którą Tomek, najładniejszy chłopak wielkodomicki, wybrał za żonę.

Józka była ogromnie miła w obejściu z ludźmi i bliźniemu życzliwa, ale słabowita i byle czego lękająca się. Jagna, wówczas czternastoletnia dziewczuszka, mocna, zdrowa i odważna, o każdej wolnej porze dnia wpadała do Tomaszów, by kuzynce w robocie dopomóc. Zwłaszcza, gdy Tomek poszedł na wojnę, a Józka z żalu i niepokoju chorowała i nie mogła dać sobie rady z bliźniat-

kami Pietrkiem i Marcysiem, Jagna bywała u Bryłów codziennym gościem. Gdy Tomek, który w czasie niemieckiej ofensywy dostał postrzał w nogę, wrócił kulejący a do dalszej wojaczki już był niezdolny, nie mógł dość Jagnie podziękować za opiekę, jaką otaczała jego rodzinę i wzamian za usługi oddawane żonie i dzieciom, wszędzie i zawsze ją wyróżniał. Serce Jagny tak przylgnęło do Tomaszowej zagrody, iż sama nie mogła powiedzieć, kogo tam najwięcej kocha: Józkę, chłopaczków, czy ich ojca, z którym łączyło ją braterskie przywiązanie.

Cicho popłynęły im dni wśród pracy, aż do chwili, gdy Polska, strząsająca kajdany niewoli, nie powołała synów swych do boju. Tomek jeden z pierwszych poleciał się bić. Przychodziły od niego częste listy, pełne zapału i wiary w szczęsną przyszłość, które serce Józki przepełniały radością, a Jagnę dumą, ale gdy rozpoczęła się krwawa i niebezpieczna kampanja bolszewicka, grożąca Polsce zagładą, gdy wszystkie oczy zwrócone były z trwogą w stronę Warszawy, skąd napływały straszne i niepokojące wieści, — Józka, oczekująca potomstwa, zaczęła słabnąć, aż zgasła cicho. Ostatnie jej słowa były:

— Bóg niech ci zapłaci, Jagódko, za wszystko... Kochaj za mnie, kochaj za mnie...

Wskazała oczami chłopców uśpionych w kołysce, a potem rękę uniosła, jakby zakreślając odległe strony...

Gdy po kilku miesiącach zwycięskiej walki ten, którego umierająca Józka wołała, powrócił do domowej zagrody, zastał w niej pustki. W chacie gospodarzyła mu stara matka, a Jagna

służyła we dworze. Wszystko w ojcowym domu wydało mu się smutne, dziwnie szare, bezbarwne.

W odzyskanej Polsce nie działo się tak, jak każdy śnił i marzył. Z szalonej drożyzny rodziła się niechęć i niesmak — a powoli bunt. Tomek osowiały, przemęczony wojną, potrzebował rodzinnego ciepła i uścisków żony. Gdy mu tych zabrakło, matka nagliła, by rozejrzał się za nową towarzyszką życia. Wiedziała dobrze stara Bryłowa, czyje serce biło dla syna serdecznem Kochaniem, ale on jakoś ociągał się, by usłać nowe gniazdo.

Jagna śpiesząc do chaty Tomka, nie myślała w tej chwili o nim. Cała przejęta radością, jaką sprawi starej Bryłowej, gdy jej wręczy otrzymaną pięćsetkówkę, spoglądała pogodnie na zaśnieżoną ścieżynkę, pełną jasnych wspomnień...

Hej! śpiewała jej w duszy nadzieja... z pewnością wygra ją z ciotką milionówkę! Z pewnością... Ach! i co kupi za te pieniądze, które jej spadną z nieba?

Najpierw trzeba okazać wdzięczność Panu Bogu. Chwilkę się zastanawia... Aha! już wie... Zafunduje statuę Matki Boskiej Nieustającej Pomocy do kaplicy wielkodomickiej. O! taką śliczną, z Dzieciąteczkiem na ręku, które przytulone do Matki, spogląda jednak na padoł ziemski, by zysłać na wierny lud polski niebieskie swe łaski!

I co dalej nabędzie za milionówkę?

O! wielkie cuda i radości!

Dzieciom Józki kupi pończoszki i duże, duże pampery do zabawy. Potem dla wujka Wojciecha

wyberze kij z ładną główką, boć to włódarzowi potrzebne.

Potem — pani chrzestnej wyhaftuje chustkę do nosa, a starej Rózieczce, żyjącej na łasce we dworze, kupi tabliczkę czekolady.

— A o sobie, Jagódko, wcale nie pomyślisz?... — pyta milionówka.

— Ho! ho! jeszcze jak! — śmieje się Jagna — i oczy jej płoną wielką uciechą.

Widziała w Z. śliczną materję niebieską w paski, ale kupiec drożył się i taką cenę podał, iż nie mogła ani marzyć o wyborze tej sukni.

Teraz jeno wyciągnie rękę... szata gotowa i już Jagna idzie do kościoła, wystrojona, szczęśliwa...

Hm — może wracając z nabożeństwa, spotka kogoś, dla którego warto się wystroić...

Tu srebrna przedza marzeń dziewczęcych urywa się...

Ach! choćby wygrała dziesięć milionówek i kupiła dziesięć sukien, serca Tomkowego napowrót nie zdobędzie! Dużo w życiu ludzkim znaczą pieniądze i rażniej z niemi na świecie, ale jedno kochanie i kochające serce więcej warte, niż tysiące, niż miliony papierków!

Jagna była tak zatopiona w smutnem rozmyślaniu, iż o mało nie krzyknęła, gdy nagle stanął przed nią pan jej serca i myśli.

— Budzę cię, najpiękniejsza z wszystkich leśnych jagód — zawołał Tomek; — dokąd to idziesz, jeśli wolno wiedzieć, o tej spóźnionej porze?

— Ach! to ty, Tomek! Jakże mnie przestraszyłeś!

— Od jakiego czasu lękasz się mnie, Jagódko? — przekomarzał się z nią, pewny siebie, zwycięski.

— Nie przypuszczałam, że właśnie ciebie spotkam.

— Nie mnie? A kogo to, Jagódko, pragnęłaś spotkać o parę kroków od mojej chałupy?

— Ja, spotkać kogo? — płatała się bezradna — o! przecież wiesz dobrze, że nie należę do takich — do takich...

— Wiem, wiem, jesteś chodzącą cnotą, ale mówiono, że się do ciebie zaleca borowy.

— Do mnie się nikt nie zaleca, Tomku, ale ty podobno oddałeś serce... tam...

Wskazała ręką miasto, tonące w ciemnościach zimowego wieczoru.

Tomek się zaśmiał.

— No, niema jeszcze nic pewnego. Właśnie idę, zaproszony przez Kurdelów, na wieczerzę, a ty pewno do mojej matki?

— A tak, i wiesz, co jej przynoszę? Pięćset marek, które mi dał na gwiazdkę wujek Wojciech. Kupimy do spółki milionówkę!

Tomasz wzdrygnął ramionami.

— Cieszcie się naprzód z wygranej, oj kobiety! Zresztą co to znaczy dziś milion? To mniej jak dawniej stumarkówka pruska.

— Bój się Boga, człowieku, tyle pieniędzy i jeszcze ci mało?

— A mało, skoro takie psie czasy nastały, że człowiek bez milionów to trup.

— Jezus, Tomku, psie czasy, mówisz, gdy mamy Polskę, za którą tak dzielnie się biłeś! Ja ciebie już wcale nie poznaję.

— Polska Polską, a że czasy paskudne, to wszyscy mówią, co mają trochę rozumu.

— Ale nie mają serca, ni uczciwości.

— Eh! co ty o tem wiedzieć możesz, Jagna, powtarzasz tylko za panią matką pacierz, a nie rozumiesz, że my musimy wszystkie siły wyteńczyć, aby przewrócić do góry nogami świat obecny i zaprowadzić inne rządy w kraju. Obaczysz, że ci wówczas będzie dobrze na świecie, bo my ubodzy będziemy górą, a tamci...

Pogroził pięścią jakimś niewidzialnym mocom, a Jagnie serce bić poczęło na alarm.

— Co ty pleciesz, Tomku, aż przykro słuchać. Mówili mi, żeś przystał do bolszewickiej kompanji, broniłam ciebie z całych sił, ale widzę, że mieli rację. Okropnie mi cię żal, Tomku, bo na złą drogę wstąpiłeś.

Zbliżyła się do Tomka i mówiła dalej:

— Iść już muszę, nie mam czasu dłużej z tobą rozmawiać, chyba że — spojrzała mu prosto w oczy — wrócisz ze mną choć na chwilkę do matki.

— Nie mogę. Obiecałem Kurdelom stawić się na szóstą. Zresztą, my się i tak już nie rozumiemy!

— Prawda — odparła cicho Jagna — ale czyja w tem wina?

Oczy jej spoczęły pytająco i z upodobaniem na urodziwej postaci Tomka.

— Ano, nie wiem, kto winien — odparł wymijająco — wyście tu zostali zacofani, ograniczeni, a my, to jest ja, dużo przejrzałem i... — popatrzył na nią chwilkę — już z wami, Jagna, nie potrafię iść do pary.

Dziewczyna jakby uderzona obuchem prosto w serce, cofnęła się i zachwiała, ale po chwili wyprostowała się dumnie i rzekła:

— Byleś szedł prostą, szlachetną drogą, Tomku, to niech ci Bóg błogosławi, oraz tej, która pójdzie z tobą do pary...

Rozstali się...

Jagna, boleśnie zraniona rozmową z Tomkiem, wpadła do izby, gdzie Bryłowa zajęta była przygotowaniem kolacji dla wnuków.

Stara raz po raz wzdychała przy robocie. Wiedziała czem to pachnie, odwiedziny syna u Kurdelów! Wracał on od nich podchmielony, gotów do zaczepki, z wypróżnioną kieszenią.

— Ach! to ty, Jagódko — zawołała Bryłowa z rozjaśnioną twarzą, witając wchodzącą. — Bóg cię mi zesłał na pociechę! Szkoda, że nie przyszłaś kruszynkę wcześniej. Pewnikiem byłabyś potrafiła zatrzymać Tomka w chałupie! Ze starą matką i drobiazgiem, to mu się cni do ludzi.

— Spotkałam go, ciotko, i gadaliśmy chwilkę ze sobą; wiedział, że do was idę, jednak się nie zawrócił.

— Bogu wiadomo, co mu tam zadali ci Kurdelowie — westchnęła stara — od czasu co z nimi zawarł znajomość, całkiem jest inny. Już ci powiem, dziewczyno, że mi życie teraz obmierzło i zgryzota usiadła na wątrobie.

— Ej, ciotka, nie trzeba znowu wszystkiego za nadto brać do serca — uspokajała ją Jagna, przeciw własnemu przekonaniu. — To się wszystko może jeszcze zmienić. Musimy się gorąco modlić do Przemienienia Pańskiego, aby serce Tomkowe nawróciło ku dobremu. Patrzcie!

przyniosłam coś dla was, ciotko. Oj! toż się ucieszycie!

— No, co tam masz takiego, ty najlepsze dziecko? — spytała.

Jagna wydobyła z zanadru woreczek, gdzie schowała 500-markówkę, uniosła papier w górę, świecąc liczbami przed pytającym wzrokiem Brylowej.

— Co to jest? Co to ma znaczyć? Ady gadaj, dziewczucho, bo mnie pali ciekawość.

— To jest, że razem z ciotką kupimy sobie milionówkę!

Stara aż klasnęła w ręce z uciechy.

— Wej! skąd wzięłaś tyle pieniędzy naraz i skąd ci przyszła do głowy milionówka?

— A nie pamiętacie, jakeście przede mną wzdychali, że gdy macie trochę grosza, to nie wiecie jak zrobić, by z tego rósł procent i że okrutnie pragniecie kupić taki papier, co kosztuje tysiączkę, a milion przynieść może!

— Hale, mówiłam i to jeszcze, że Tomek potrzebuje dużo pieniędzy, a jak są papierki w skrzynce, toć trudno rodzonemu chłopcu odmówić i przez to sporo grosza idzie na marne, a przecież to też dziecińskie pieniądze są i o nich biednych sierotach pamiętać trzeba przede wszystkim.

— Więc, ciotko, sprawa ubita. Zostawiam wam ten papier, który jest wart pięć Kościuszków, a wy tyleż dołożycie, pójdziecie do soltysa z prośbą, by nam kupił tak zwany asygnat państwowy.

— Dobrze dobrze, Jagno złocista, i coś mi się widzi, że my do kupy wygramy! O jejku! co to

byłaby za radość, aż mnie coś wierci na dołku i nie wiem, jak doczekam tej szczęśliwej godziny.

— No, muszę już was pożegnać, ciotko, bo czas na mnie. Niedaleko już szósta. Ostańcie z Panem Bogiem.

U Kurdelów.

Niewesoło było na duszy Tomkowej, gdy się rozstał z Jagną. Czuł, że coś rozprzęgło się między nimi — że dobrowolnie i okrutnie przeciął nieć serdeczną, która go od dziecka łączyła z dziewczyną pełną zalet duszy i ciała. I prawdę mówiąc — dawniej wszystko podobało mu się w Jagnie — i strona zewnętrzna i wychowanie i pochodzenie. Doleżówna była ładnym okazem wiochny polskiej i wiosny w pełnym rozkwicie — a przytem Tomek wiedział, jak gorącym uczuciem biło dla niego serce dziewczęce i to jeszcze, że lepszej, więcej oddanej mężowi i dzieciom towarzyszyki życia nie znajdzie w całej Polsce.

Im bliżej był jednak miasta, tem więcej zacierał się w pamięci Tomka obraz Jagny, a rosła niepokahamowana chęć zbliżenia się do eleganckiej, sprytnej i zalotnej Klary.

W porównaniu do ciszy wielkodomickiej miasto L. o pięć kilometrów od wsi oddalone, brzmiało życiem o tej przedwieczornej porze.

Tomek chcąc dojść na Hożą, gdzie zamieszkał Jan Kurdel z siostrą nie mógł ominąć ulicy Kościelnej. Z świątyni pańskiej dolatywały go radosne pieśni, hejnały organów, naśladujące to dzwoneczki pastusze to całą orkiestrę witającą

w Betleemskiej stajence przybycie Bożego Dzieciątka. Młody Bryl przystanął chwilę. Jakieś pocziwe uczucie wypełzło mu z głębi serca i poczęło pchać go do stóp ołtarza. Niechby klęknął choć na parę chwil wśród wiernego tłumu, niechby spojrzał na ubożuchny żłóbek Królewskiej Dzieciny i razem z braćmi zaśpiewał serdecznie.

Toż przecież zupełnym niedowiarkiem nie był! Ale dziś miasto podążyć na wezwanie tych głosów tajemnych, skreślił szybko w bok, począł uciekać od pieśni przejmujących swą prostotą i wiarą przodków, szczerzej i posiadającej moc kojenia smutków życia...

Mieszkanie, w którym od dwóch lat blisko przebywał Jur Kurdel, rymarz z zawodu, z przyrodnią swą siostrą Klarą, składało się z dwóch pokoi. W pierwszym przedzielonym papierowym parawanem miał w jednej części swoją pracownię i sypialnię razem, druga znacznie większa przeznaczoną była na salę do przyjmowania gości. Obok Klara zajmowała malutką izdebkę, elegancko urządzone, dokąd tylko wybranym wolno było wchodzić i to za specjalnem zaproszeniem pani domu. Gdy Tomek się ukazał, Kurdel wraz z kilku towarzyszami siedział pochylony nad rozłożonemi papierami na stole, a tak byli wszyscy zatopieni w robocie, iż nie zauważyli wejścia Bryla. Z przyległego pokoju wybiegła piękna panna, z radosnem „nareszcie“ i szybko zbliżywszy się do Tomka, szepnęła mu coś na ucho — zapraszając na chwilę do siebie.

Kurdel wówczas dopiero podniósł głowę, skinął przyjaźnie Brylowi i rzekł do towarzyszków, pokazując na czoło:

— Klarcia dostała bzika na punkcie Tomka.

— Prawda — odparł podkrecając wąsa Sośnik, mistrz szewski, szpakowaty i przysadzisty, — na nas tu obecnych panna Klara ani nie raczyła spojrzeć, a za tym chłopem od godziny wypatrywała z okna.

— A no, panie majstrze — wtrącił sołtys Zeber, — mamy obadwaj 15 lat więcej niż Tomek, nie dziwota, że kobiety go wolą, przytem bestja krzepki, zdrowy i urodziwy, jak mało który na całą okolicę.

— A mnie co braknie? — zaśmiał się Sośnik. — Jenobyś człeku widział, jak lgną do mnie pannenki!

— Dajcie pokój żartom — rzekł Kurdel. — Mamy tu ważniejsze sprawy do omówienia.

Wstał, witając czterech nowych przybyszów, którzy obsiedli stół, wpatrując się nabożnie w ruchliwą a przebiegłą twarz gospodarza domu.

Kurdel zaczął na nowo tłumaczyć korzyść sojuszu bezrolnych i robotników, wskazywać potrzebę zrzeszenia się i stworzenia systemu porozumienia się wspólnego i obrony uciśnionych — a także wielkie korzyści z wywłaszczenia dóbr bogaczy, magnatów, z pomocą reformy rolnej, która cieszy się zaufaniem polskiego ludu i położy kres rabunkowej gospodarce dziedziców, oddając grunta głodnym ziemi polskim włościanom.

Zebrani potakiwali wszystkiemu wywodowi Kurdela; w oczach tego i owego rozgorzała żądza posiadania.

— O! ten, magnat, dusigrosz, obszarnik, hrabia S. — temu trzeba trochę krwi upuścić — mówił sołtys Zeber, znany gębacz na całą okolicę.

— Niech idzie pierwszy ksiązę B. — wołał borowy, lasów ksiązęcych opiekun, — co tam za pszeniczka, — oblizywał się — co za buraki!

Dwóch wyrostków przystąpiło do Kurdela ze skargami na Bączkiewicza, urzędnika z Wielkodomie.

— Daje nam liche drzewo na opał, z państwem „trzymie“, a nas gnębi, za byle co kary daje i terminatki.

Kurdel słuchał uważnie. I on miał na pieńku z owym Bączkiewiczem, zaprzędanym słuźbistą. Niecierpiał go. Przysięgł mu w duszy zemstę, gdy go z podwórza wyprosił — jego — rymarza — Jura Kurdela!

— Trzeba go się pozbyć — zawyrokował — po prostu wykurzyć z Wielkodomie.

— Ale jak? Niech pan poradzi. My nie wiemy, jak się wziąć, bo on państwu zaprzędany, dziedzic mu mocno sprzyja.

— Napisać do dziedzica: albo Bączkiewicz pójdzie precz — albo fajerwerk. Rozumiecie?

— Niby to jak fajerwerk? My pisać się o tem boima.

— Przyjdźcie do mnie innym razem, pomogę. Ale pisać to już musicie sami... i sami też...

Obejrzał się wkoło — niezupełnie pewny siebie — wziął zapalę i pociągnął po pudełku.

— O tak — rzekł, ukazując im płomień.

Chłopy spojrzeli po sobie.

— A nie zamkną nas do ciupy — spytał młodszy pocichu.

— Jeszcze który zdradzi — rzekł starszy, — tylu ich tu jest.

— Sami swoi, — zapewniał Kurdel, — ale nie ganię was wcale, że chcecie być ostrożni. No,

zobaczymy, — o tem — potem. Możecie być pewni, że o Bączkiewiczu nie zapomnę. Dureń — psiadusza!

Wrócił do reszty towarzystwa, by w dalszym ciągu omawiać sprawę działek i parcelacji obszarów dworskich.

Słuchano go z zapalem, ale robota szła oporniej. Nie było jednolitości w zdaniach. Poczęto się kłócić. Młodziutki chłopak w wojskowym mundurze ziewał, kręcił się jak piskorz.

Kurdel to zauważył.

— No, dosyć na dziś chłopcy — zawołał, — patrzcie! nasz dzieciuch, już wytrzymać nie może. Napijma się. — Klara! — zawołał donośnie, — Klara! dosyć tych umizgów do Tomka — pójdźcie do kompanji.

Klara zaróżowiona, uśmiechnięta, stanęła we drzwiach, a obok niej Bryl, pijany szczęściem, bo pierwszy to raz Kurdelówna tak bez ceremonji, wobec tylu innych ubiegających się o jej względy, wyróżniła go i zaprosiła do swego królestwa.

Na skinienie Jura Klara zamieniła się w ujmującą gosposię.

Na blado-niebieską wyciętą bluzkę, ukazującą alabastrowej białości szyję i ramiona, włożyła fartuszek batystowy, bogato falbanami posyty i z gracją zbliżyła się do brata.

— Klärchen, — rzekł uprzejmie — przynieś Baczówkę. Zobaczymy jak wam druhowie smakować będzie.

Klara wniosła kieliszki i królującą wśród nich wódkę Baczówkę i poczęła częstować, zapraszać do picia kompanów. Nikt nie odmówił. Jeden tyl-

ko, wojskowy, Janek Borysiak, dla młodego wieku i małego wzrostu dzieciuchem przewany, siedział milczący i osowiały.

Klara pogładziła go białą rączką i szepnęła do ucha:

— Czego takiś smutny? Co jest małemu?

Chłopak zatrząsł się cały, pokraśniał jak burak i z desperacką determinacją zawołał:

— Proszę nie mówić do mnie „mały“. Nie cierpię tego.

Powstał ogólny śmiech.

Klara ukazała dwa rzędy ząbków, równych lśniących białością, ostro zakończonych, jak u gryzoniów.

— Patrzcie mi, jaki to złośnik, — zawołała rozbawiona. — Mały jak palec, a zły jak padalec.

Mistrz Sośnik zbliżył się do Kurdelówny.

— Padalce umieją kąsać... zwłaszcza gdy za zdrość niemi kieruje. I ja czuję się dziś pokrzywdzonym, więc czytam wyraźnie, co się w sercu Borysiaka dzieje.

— E! wolne żarty, pana serce to twierdza niezdobyta!

— Niechże panna Klarcia spróbuje zdobywać. Wszystkie drzwi i okna stoją dla niej otworem.

— Dobrze, dobrze, nie omieszkam skorzystać i wejść bez pukania, aby nie zbudzić żony.

Spojrzeli sobie w oczy i zaśmiali cynicznie.

Jur przechodząc, poklepał siostrę po ramieniu.

— Klärchen, wszyscy głodni, czekamy na dalszy poczęstunek.

Kurdelówna zwróciła się do Tomka i Borysiaka.

— Chodźcie chłopcy, wy dwaj najmłodszy, pomóż mi w gospodarstwie.

Wyszła do kuchni, za nią Tomek uradowany i Janek mniej posępny.

Robiło się coraz gwarniej. Przyszło jeszcze dwóch robotników kolejowych z dalszych stron, których Kurdel witał jak starych przyjaciół.

Klara et comp. wniosła mięsiwa, przekąski, piwo. Jur pokazywał nowe skóry, sprowadzone Bóg wie jakim sposobem z zagranicy, a potem, gdy już dobrze wszystkim szumiało w głowie, przemówił do zebranych, nawołując ich do łączności, do zrozumienia własnych interesów, do wytępienia kasty szlacheckiej, darmozjadów, obszarników, burżujów, oraz zaszytych w sutanny chytrych lisów.

— Nie Niemiec, nie Żyd, nie bolszewik — krzyczał z pełnej piersi — jest waszym wrogiem, ale ci wszyscy rozpanoszeni magnaci, którym obojętna jest dola chłopska, obojętna wiara i ojczyzna.

Mówił wolno, dobitnie, przekonywająco. Zakończył słowami wieszczą:

Dużo by już mogli mieć,
Ino oni nie chcom — chcieć!

Zerwała się burza oklasków. W sali powstał hałas, krzyk:

— W górę Jura! Niech żyje Kurdel! Precz z magnatami!

O cześć wam panowie magnaci!
Za naszą niewolę, kajdany.

Śpiew brutalny, z ochrypłych piersi, zemstą dyszący, napelnił salę. Klara oszołomiona mru-

gnęła na Tomka, stojącego na uboczu i oboje ci-
chutko wynieśli się do kuchni. Było już dobrze po
północy, gdy grono wiecowników rozeszło się.

W starym dworze.

— Róziu — pytała pani Domicka jasnowłosej wnuczki, opartej o okno, w cichej zadumie — czy nie słyszysz turkotu nadjeżdżającego powozu?

— O nie, babciu, to jeszcze za wcześnie. Tatko z Julkiem wrócić mogą najprędzej około 5, a teraz była czwarta godzina.

— A mnie się zdawało, że za chwilę mogą być zpowrotem. Zawsze się trochę niepokoję, gdy Stasia niema w domu. Od czasu wojny każdy wyjazd, każde pożegnanie wydaje mi się połączone z niebezpieczeństwem.

— Babciu! Babciu! a gdzież podział się twój optymizm, którego zazdroszczą ci wszyscy wnukowie i wnuczki?

— A! to prawda — nie mogę patrzeć w świat tak czarno, jak wy młodzi, tylko — od czasu co Jaś nasz znikł na wojnie, bez wieści, niepokój ma łatwiejszy przystęp do serca. Ot i Marceli mnie martwi. Sześć tygodni minęło we wtorek od jego wyjazdu do Paryża — a listu jak niema tak niema!

— Powiem babci. Za parę dni Nowy Rok, Marceli pewnie ociągał się z listem, aby za jednym razem donieść co porabia i złożyć babci życzenia noworoczne.

— O! co za obrachunek. Toż od chwili co nie odezwał się tyle tygodni upłynęło, a dla mnie starej każdy dzień darowany.

— Marcelek pracuje gorliwie, babciu, a wieczorem obowiązki towarzyskie zabierają mu każdą wolną godzinę, więc mu pisać nie sporo.

— Cieszy mnie, że poświęcił się dyplomacji. Polska fachowych ludzi w tym kierunku potrzebuje, ale z drugiej strony wasz ojciec pozbawiony podpory. Jasia niema — Julek biedny słabowity i wiecznie zgryziony. Co się stało temu chłopcu, zrozumieć nie mogę. Chyba że to są jeszcze skutki przebytej operacji?

— Nie babciu. Julek fizycznie przyszedł do siebie. Te trzy miesiące spędzone na wsi podreparowały mu zdrowie. Tylko on trapi się i gryzie obecnymi stosunkami. Ciągłe się czegoś lęka... czemś irytuje... dręczą go najczarniejsze przewidywania.

— Ale z jakiego powodu? Wojna dla nas szczęśliwie ukończyła się i ominęły nas jej straszliwe cięgi... Daliśmy w skórę Prusakom, a raczej wydarli z ich paszczy Śląsk i Wielkopolskę... Mamy ojczyznę wolną, konstytucyjną i Sejm, czegoż chce więcej chłopiec młody, mający jasną przyszłość przed sobą i świat cały stojący mu otworem?...

— Babciu, to wszystko prawda, tylko Julek w młodzieńczej fantazji odmalował sobie inny obraz wyzwolonej Polski! Pamiętam, jak chorobliwie zazdrościł Marcelkowi i Jasiowi, że się bić mogli za Ojczyznę!

— Wiem, wiem, przecież przedzierał się do obozów powstańczych, przewoził amunicję jesz-

cze pod bokiem pruskich urzędników. Ale to wszystko nie tłumaczy go, dlaczego dziś, gdy odzyskałmy wolność, zamiast nią oddychać, chodzi jak struty...

— Ach! babciu, czyż wszyscy nie mamy powodu patrzeć z lękiem w przyszłość kraju? Czyż nie dzieją się wkoło nas straszne rzeczy?

— Jakie straszne rzeczy? Wy, Domiccy macie pasję, by przesadzać, byle co podnosić do rozmiarów tragicznych. Wiem, że niewszystko dzieje się po myśli, że rząd jest chwiejny, nie wzbudzający zaufania, że tworzą się bandy i chodzą źli ludzie buntujący włościan na chlebobawców, ale to przecież tylko chwilowe, to czas powojenny, przejściowy. Zanim Julek obejmie Macierzankę, zmienią się czasy, walutę uregulują i uspokoją żywioły niezadowolone.

— Ach! oby babcia była dobrym prorokiem! Ale narazie smutno... W przeszłym tygodniu okradli kościół w Postojach i ta sama ręka podpaliła podwórze. Julek pojechał z sikawką. Nazajutrz chwiał się na nogach, nie z przemęczenia, ale z wewnętrznej irytacji, jak mi się sam przyznał.

Niestety! Każdy dzień przysparza dowodów obecnego nieładu, no, poprostu rozboju. Dziś w nocy skradziono szory furmańskie pani Zenobji, a w Macierzance pas od lokomobili. Wyobrażam sobie jak Julek szarpać się będzie, gdy się dowie o tem nowem bezprawiu.

Pani Domicka spojrzała niespokojnie na wnuczkę.

— Wszystko to okropnie smutne, co mi opowiadasz, Róziu. Staś chcąc mi oszczędzić przy-

krości, nie pozwala, aby mi powtarzano złych wieści, a ja jednak wolę wiedzieć... Mimo sędziwego wieku jestem silna, silniejsza od niejednego z was młodych.

Róża schyliła się do rąk staruszki i całując je, rzekła:

— Bo babcia posiada głęboką wiarę, której może nam braknie...

Z dala przypłynął męski śpiew i przerwał rozmowę pań.

Róża zmarszczyła brwi i zniżając głos szepnęła:

— Ten wstrętny Sośnik znów rozkrzykuje się po ogrodzie.

— Babciu, bardzo przykłą rzecz mam do powiedzenia tobie. Chciałam powierzyć ją tatce, lecz lękam się, że go to zanadto zirytuje...

— Cóż to takiego, Rózo? może się domyślam — Sośnik?

— Tak, babciu — on! Włóczy się za mną, jak mara, korzysta z każdej sposobności, aby mi okazać jakieś głupie afekta, które mnie wyprowadzają z równowagi, prosto mi ubliżają. Julek lubi Sośnika, potrzebny mu jest do egzaminów, więc nie chciałam zaraz kłaść tej sprawy na ostrzu noża — udawałam, że nie widzę — ale...

— Bardzo źle postąpiłaś, Róziu, takie rzeczy trzeba zgnieść w zarodku, a nigdy nie zwlekać. Powiem ci, moje dziecko, że mnie się nigdy korepetytor Julka nie podobał. Ten jego głód pieniędzy, wieczne rozprawy na temat obecnych i dawniejszych, pruskich czasów, brak szczerości i prostoty, fałszywa ambicja, źle mnie do Sośnika usposobiły. Teraz to co mi powiedziałaś,

przebrało miarę cierpliwości i pobłażliwości i Sośnik musi opuścić Wielkodomice.

W tej chwili dał się słyszeć turkot zajeżdżającego przed dwór powozu. Róża zerwała się.

— Tatko z Julkiem wrócili, babciu! Idę przygotować dla nich podwieczorek.

Po małej chwili Stanisław Domicki wszedł do sypialni matki.

— Dobry wieczór mamie — rzekł całując jej ręce — przywiozłem kilka butelek wody mineralnej, cytryn i pomarańcz.

— Dziękuję ci, synku kochany, ale pomarańcze w tych czasach, to straszny zbytek.

Uśmiechnął się.

— Wie mama, że tu są tańsze niż w Poznaniu. Zato cena chleba i mięsa — horendum! Brrr... strasznie dziś zimno.

— Nie było tu Róży? — spytał matki.

— Owszem — do tej chwili dotrzymywała mi towarzystwa. Zafrasowana biedaczka rozmaitemi przykremlami sprawami...

— Okradli dziś w nocy panią Zenobją, a w Macierzance pas od lokomobili...

Domicki zmarszczył brwi.

— Nie lubię, gdy mamie powtarzają te lub inne gnębiące wieści.

— Dlaczego? mój Stasiu... przecież mam zdrowy umysł, nawet mniej wrażliwy od was młodszych...

— Niechże choć jedna osoba w domu ma spokój. Mama tego świata przewrotnego zmienić nie może, pocóż daremnie truć się i martwić? Sośnik ma pasję rozpowiadać alarmujące wiadomości.

Nietylko Julka źle uprzedza do ludzi, ale nawet Różę.

— Skoro o nim mowa, muszę ci powiedzieć, Stasiu, że obecność Sośnika w naszym domu bardzo drażni Różę.

— Różę?... Sośnik?... z jakiego powodu?

— Prześladowuje ją niesmacznymi hołdami...

Pan Domicki zerwał się z krzesła z płomieniem oburzenia w oczach.

— Co? — ten — ten — przepraszam mamę za wyrażenie — chłystek — śmiałby do mojej córki?... ależ to przechodzi pojęcie ludzkie, jak się dziś w głowach pokiełbało! I czemu mi Róża nic nie mówiła? Zaraz dziś wyekspeduję tego pana z Wielkodomie.

— Dobrze zrobisz, Stasiu. Uważam, że i na Julka ma wpływ ujemny. Chłopiec coraz więcej rozdrażnia się i polityką zajmuje. Powinien mieć towarzysza patrzącego pogodniej i życzliwiej na świat i ludzi...

Domicki spojrział na matkę z czcią i podziwem.

Jakaż jasnością umysłu i trafnym sądem obdarzoną była ta 80-letnia staruszka.

Wyszedł, a w tejże chwili Julek wpadł do pokoju.

— Babciu! — mówił szybko i nerwowo — żebyś wiedziała, co się w miasteczkach naszych dzieje! Zgroza! Wałęsają się po ulicach jakieś podejrzane figury, szukając niby to pracy, a głównie zaczepki!

— Trzeba ich unikać, Julku, a nie przyglądać się im, bo to ich rozdrażnia... wszystko to chwilowe oszołomienie.

— Wkrótce lud otrząśnie się z obcych naleciałości i pójdzie prostą drogą pracy i obowiązku.

— Jak ja babci zazdroszczę optymizmu i wiary w szczęśliwszą przyszłość kraju! Pan Sośnik, który jest bratem mistrza szewskiego Sośnika z L. powiada, że w mieście, na zebraniach tylko wre i kipi. Lud — pragnie naszego wywłaszczenia...

— Nie mów lud, tylko jakiś tam zakapturzony bolszewik, który dorwał się władzy, w prostych sercach rozpala bunt i sieje ziarna nieufności.

— Może być, ale oni wierzą w niego jak w Opatrzność. Księża dziekana z L., tego czcigodnego i zacnego kapłana, śmieli wyzywać na zebraniu, obrzucili obelgami — opowiadał mi świeżo Sośnik.

— Jeśli kto wydaje mi się podejrzany i niegodny twego zaufania Julku, to właśnie Sośnik... Ojciec zamierza go wydalić.

— Adaś Sośnik podejrzany! Babciu. Ależ to dopiero fatalna pomyłka! to jakaś brzydka intryga... idę zaraz do tatki, dowiedzieć się, kto mu uszył buty.

Troski matczyne.

Stary rok 1921-szy kładł się z fantazją do grobu. Wicher brał się za bary z śnieżycą i do spółki wyprawiali istne orgje, wyjąc, świszcząc przerażliwie. Drzewa obnażone z liści trzęsły się, jak w paroksyzmie febry, lub kłaniały do ziemi przed niewidzialną mocą, dachówki usuwały się w galopadzie z domów i kominów, stogi słomy puszczały się na wędrówkę i gnane wichrem, rozrzucały żółte pasma po polach i rowach. Ludziska siedzieli zgnębieni, rozmyślając nad tem nie-

spodziewanem zakończeniem starego roku, który Polsce rozmaicie się przysłużył.

W chacie Bryłów cicho było i niewesoło. Andrzejkowa poukładała wnuki do snu i siedziała skulona, markotna, czekając na powrót Tomka, który obiecał stawić się na wieczerzę. Ale nie było go widać.

— Może go ten wściekły wichur zatrzymał gdzie — myślała kobieta — a może zabarłował się wśród kompanji, jak to mu się coraz częściej zdarza. Szkoda chłopca! Szkoda! Przyuczył się też zapijać robaka i bawić w te karciska, co to jeno grosze z kieszeni wydobywają, a bałamuca umysł.

Zafrasowana położyła się wkońcu nie mogąc doczekać powrotu syna. Ale żalosne jęki wiatru długo zasnąć jej nie dały. Późno w noc, wśród szamotań ryczącej zawieruchy, zjawił się Tomek i w ubraniu rzucił się na posłanie.

Nazajutrz było pogodnie. Wiatr gdzieś przykucnął i ziemia śniegiem pokryta zastygła w zimnem milczeniu. Bryłowa upatrzyła chwilę stosowną, aby do Tomka przemówić i nakłonić go, aby ją zaprowadził do kasy pożyczkowej w L. w celu zakupienia państwowego asygnatu, dającego 5 procent rocznego dochodu i prawo wygrania milionówki.

Tomek chętnie zgodził się na tę wycieczkę. Był dziś w dobrym usposobieniu. Wczoraj znaczną kwotę pieniędzy udało mu się wygrać u Kurdela, tem bardziej uśmiechała mu się myśl spotkania jego siostry, do której lgnął coraz więcej; już nie było prawie dnia, a raczej wieczoru, aby nie popędził na Hożę, gdzie go Klarcia przyjmo-

wała zawsze łaskawie, a Jur nie omieszkiał poczęstować wódką i papierosem. Wygraną noworoczną uważał za dobrą wróżbę na przyszłość.

Szedł więc rażno obok matki i wesoło opowiadał jej różne nowinki brukowe.

Gdy po długiem czekaniu w kasie pożyczkowej wśród tłumu petentów wyczekujących swej kolejki, Andrzejkowa dostała nareszcie do rąk drogocenny papier, nie mogła mu się dość napatrzeć:

Było kilku mężczyzn z Wielkodomie, którzy otoczyli starą, tłumacząc jej, że w każdą sobotę musi uważać, czy szczęśliwy los nie padnie na numer 0 050 050!

Okrutnie jej się nie podobała podobizna Kościuszki w czamarze, przypominającej biały turban, jakim owijają baby chorą głowę. Wyobrażała sobie całkiem inaczej tę milionówkę... w ognistych, czerwonych kolorach narodowych i z numerem bijącym jasno w oczy każdego!

Schowała jednak z wielkiem namaszczeniem papier do płóciennego worka, zawieszonego na białej tasiemce, na szyi — i pochwaliwszy Pana Boga, wyszła z synem na ulicę, szukać sklepów z towarami, aby porobić zakupna dla wnuków.

Tomek wskazał jej dwa najgłówniejsze sklepy na rynku i przepadł gdzieś w bocznych zaułkach miasta.

Andrzejkowej podejrzany był ten pośpiech, z jakim syn znikł z jej oczu.

— Pewnikiem — myślała — poleciał zalecać się do tej pannicy swojej, a stare matczyisko puścił kantem. Ciekawą też jestem, jak wygląda ta

sławetna panna Klara, która miłą i dobrą Jagódkę, od śmierci Józki upatrzoną na synową, wysadziła z serca i z pamięci Tomka!

Ledwie to pomyślała Bryłowa, a właśnie w składzie obuwia, dokąd weszła, jakaś modnie ufryzowana, tęga blondyna, w podkaszanej sukni, ukazującej buciki sięgające prawie do kolan, z papierosem w buzi, przepiórkowała wesoło z eksmistrzem szewskim, dziś właścicielem składu, panem Sośnikiem. Bryłowa stanęła potulnie na uboczu i przyglądała się bacznie pięknej pannie, a przecucie matki mówiło jej, że to jest właśnie istota, która potrafiła tak opętać syna, iż od pewnego czasu żył tylko myślą o niej.

— Święty Boże! — przemknęło jej po głowie — jeśli to ona, to naprawdę Tomek stracił rozum!... Taka pannica, podmalowana, ubrana cudacznie, bezwstydnie strzelająca oczami na żonatego Sośnika, ma wniść jako gospodyni, matka dzieciom, do ich skromnej chaty! Czy to ma sens jaki? Czy kto coś podobnego słyszał?...

— A pani czego żąda? — spytał grzecznie subjekt, podchodząc do gapiącej się Andrzejkowej.

— A no trzewików dla dwóch czteroletnich chłopczyków — odparła, i ciszej, wskazując na rozkrzykującą się parę: — Co to za jedna? — spytała.

Chłopak uśmiechnął się, mrugając filuternie oczyma.

— Kurdel się nazywa. Mój pryncypał do niej zachodzi, bo się okrutnie lubią. Sprezentował jej na gwiazdkę... najładniejsze obuwie z całego składu. — I głośno: — Więc trzewików dla czteroletnich chłopców pani sobie życzy — zaraz, za-

raz, mamy dużo, z pewnością coś pasującego się znajdzie.

Począł przebierać wśród szeregu obuwia, lecz oczy jego wciąż śledziły rozmawiających, i na migi pokazywał Bryłowej, co się tam w drugiej kacie składu święci.

Ale ona zgorszona już nie chciała widzieć ni słyszeć więcej. Kamień zwalił się jej na piersi i przytłaczał ją swym ciężarem. Uderzyły na nią poty śmiertelne, coś chwytało za gardło...

Jezu!... dowiedziała się więcej niż przypuszczać mogła! Nie znając Klary, miała wielką niechęć do niej za to, że zabrała miejsce, przeznaczone dla Jagódki... ale rzeczywistość przewyższała wszystkie obawy matczyne!

Nie miała ochoty już kupować trzewików. Zdziwiony subjekt pokazywał coraz to nowe i ładniejsze buciki, stosowne akurat dla czworolatków, Bryłowa zobojętniała na zakupna. Parło ją coś do ucieczki. Uczciwa dusza starej włościanki buntowała się przeciw publicznemu bezwstydnemu, brało ją obrzydzenie na myśl, że to jest przyszła synowa, wybrana Tomasza.

— Tfu! — splunęła, wychodząc, w stronę rozchichotanej Klary — tfu! tfu! tfu!

I szła szybko ku domowi, nie oglądając się już za nikim, byle uciec coprędzej od tych brudów, od tej zgnilizny moralnej, do czystych powiewów pól i łąk, do schludnej chaty, kędy od trzech pokoleń zgóra, wszyscy Bryłowie, uczciwi pracownicy na roli, wybierali sobie za żony skromne swojskie dziewczęta, wychowane po bożemu.

Skręciła na ulicę Kościelną, jedną z ostatnich miasta, i znalazła się tuż obok kościoła farnego, do którego w dni odpustowe chodziła raz po raz.

W tej chwili świątynia Pańska wiała pustką. Andrzejkowa przypadła do stopni bocznego ołtarza, w którym królowała Częstochowska Pani, i zanosząc się od płaczu, spowiadała przed nią Matką litościwą wszystkie żale, bóle, udręki, które szarpały jej sercem, od chwili, gdy Tomek wrócił z wyprawy wojennej, przemieniony, popsuty, zły, mściwy i szalejący za wietrznicą.

— O Matko dobra! — woła — nie pozwól, aby taka... taka... weszła do starej chaty naszej, szczytającej się honornemi kobietami z dziada, pradziada! O, ulituj się nad sierotkami, których odchowić nie potrafi i pewnikiem katować będzie taka macocha! O, odwróć od niej serce mego Tomka! Ratuj go! O Matko! Matko! Matko! Zlituj się i nade mną — biedną, starą, schorzałą kobietą! Gdzież się podzieję — gdzie skłonię skołataną głowę? Pójdę chyba o żebrze, na poniewierkę niedołężnej starości, gdy już w Tomkowej chacie miejsca dla mnie nie będzie... Matko Najświętsza, bądź miłościwą mnie biednej...

Wstała i pokrzepiona modlitwą, poszła.

Wkrótce miasto leżało już za nią. Z wieży ratusza wybiła dwunasta godzina i po chwili dzwony kościelne rozkołysały się na Anioł Pański... Bryłowa wyszeptała pacierze, biła się w piersi, potem poczęła się oglądać, czy syna nie zobaczy.

Szedł z papierosem w ustach, nieswój i pomroczny.

Dojrzawszy złe błyski w oczach syna, matka udawała, że tego nie widzi, i całą siłą wstrzy-

mywała oburzenie, które na jego widok poczęło nową falą napływać do jej duszy.

— Chcąc sobie skrócić drogę, szli boczną ścieżką przez pola hrabiego M., najbliższego sąsiada Wielkodomie.

Z pod białej płachty śniegowej wyłania się tu i owdzie młodziutka zieleń pszenicy, lekki wietrzyk przynosił świeży, ożywczy zapach czarnoziemi.

Andrzejkowej aż oczy poweselały.

— Hrabia na Mościcach będzie miał ładny urodzaj — rzekła do syna; — nieboszczyk Bryl mówił mi zawsze, że tu wszędzie matka-ziemia.

— A prawda — odparł Tomek, przyglądając się ozimom — już są mocno zawzięte, przed silnymi mrozami śnieg je przykrył.

A potem się zaśmiał.

— Cierpliwości jeno, matko, a obaczycie, że godny kawał roli przejdzie w nasze ręce.

Bryłowa popatrzyła na syna.

— Pewnie liczysz na to, że wygram miljonówkę. Co daj Boże, amen.

Wzdrygnął ramionami.

— E, coby tam kupić można za jedną głupią miljonówkę! Inaczej damy sobie radę, inaczej wymierzmy sprawiedliwość. Okroimy godnie hrabiowskie grunta, by je rozdać na parcele bezrolnym. Tak samo okroimy naszego z Wielkodomie.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Co też ty pleciesz, Tomku, to aż wstyd i przykro słuchać. Chyba ci już rozum całkiem się pomieształ — pewnie cię znowu zamroczyła wódka.

— Każdy się na taki ziąb rozgrzać musi, ale nie bójcie się, rozum mam w porządku, jeno wy, matko, musicie raz zrozumieć, że przestaliśmy być dawnymi chudopachołkami i że niedługo wybije godzina sądu i podziału pańskich gruntów. Kurdel, najmędrszy z ludzi, jakich poznałem, i życzliwy, obiecał, że nam przypadnie spory kawał ziemi domickiej, inni dostaną hrabiowskie morgi, inni Kętulskiego. Zobaczycie, matko, jak będziemy się mieli zpyszna.

— Nie wspominaj mi nazwiska tego przekłęt- nika — zawołała już uniesiona Bryłowa. — Bol- szewik! łajdak! przeplacony, jak mi mówili naj- zacniejsi gospodarze, przez Żydów i Niemców. Nie chciałabym się utuczyć na pańskiej, ani żad- nej krzywdzie. Nieboszczyk Bryl, twój ojciec, za- cny był i prawy, szanowali go ludzie jak okiem sięgnąć wokoło, nie łasił się nigdy na cudzą włas- ność, jeno rzetelnie doglądał i dopilnował swo- jego. To też dość grosza zawsze było w chałupie i na twoje odchowanie nikt nie żałował.

— Ba! nie żałował! Jenom harał od dziecka, w pocie czoła, jak najemnik. A czy rozszerzyli- ście, choćby kruszynkę grunta po dziadku Bryłu?

— Nie, bo nam zawsze starczyło to, cośmy mieli: budynki dobre, inwentarz martwy i żywy dostateczny. Ziemia tęga i urodzajna odpłacała nam zawsze za starunek, jeno trza koło niej cho- dzić i obrabiać ją, a ty, zamiast doglądać sumien- nie gospodarki, mieć w dobrej pamięci dom ojco- wy, pług dziadów imać się, sierocego pilnować, łazisz po knajpach, wódkę spijasz, w karty się zgrywasz, słuchasz fałszywych doradców i bez żadnego ambitu czas marnujesz na oglądaniu

się za tem, co do ciebie nie należy i nigdy należeć nie będzie.

— Zobaczmy! Wy, matko, macie rozum tak ciasny, że nic do niego przedostać się nie może, wiecznie swoje wkółko, jakgdyby przekupiona przez magnatów, albo i księży, boć wiadomo, że oni razem z sobą trzymają.

— I ja z nimi trzymam i wcale się tego nie wstydzę, boć wiem, że są szlachetni i wierzący w Boga. Wolę proboszczowi i państwu, których znam od dziecińskich lat i którzy mi nigdy nijakiej krzywdy nie zrobili, zaufać, niż takim przybłędom, nieprzymierzając jak twój Kurdel. Mógł sobie ten zakapturzony bolszewik zostać w Westfalji, razem ze swoją siorą... pannicą bez czci...

— Nie gadajcie nic na Klarę — krzyknął zaperzony Tomek — dziewczyna jak malowanie, miła i słodka, że przyłóż do rany. Gdybym tylko był pewien, że mnie zechce na męża, warowałbym jak pies u jej nóg... Ale zalotników ma tylu, że może wybierać...

— Uczciwa dziewczyna nie może mieć naraz kilku zalotników, jeno taka, co się z chłopcami... bawi, za nos ich wodzi, albo jeszcze gorzej grzesznie się z nimi zadaje. Widziałam na własne oczy, jak przepiórkowała z żonatym... bezwstydnica!

— Matko! przestańcie, bo mnie taka złość chwyta, że już nie odpowiadam za siebie. Klarę miłuję z głębi duszy i gdybyście nie byli moją matką, zamalowałbym wam gębę za to, coście rzekli przed chwilą...

— Tomek! — wrzasnęła Bryłowa — nie boisz ty się Boga? Patrzcie go! Na matkęby się dał

w obronie wietrznicy. Tfu! to mi dopiero syn! hultaj jakiś — zbereźnik!

Doszli wśród odgrazań i ostrych przymówek, matka przodem, syn za nią, do granicy Wielkondomic, gdzie na skraju rozbieżnych dróg stał krzyż Chrystusowy.

Nikt nie pamiętał, kto go postawił. Pochylony był i sędziwy. Mówiono, że ma z dwieście lat... Bóg - Człowiek wisiał rozkrzyżowany, z twarzą zastygłą w przeogromnym bólu, z ustami rozwartymi, które zdawały się wołać bezustannie: „Eli! Eli! Lama sabachtani!”

Ludzie szanowali tę wiekową pamiątkę. Pątnicy z najdalszych okolic przychodzili w Wielki Piątek, by u stóp Boskiego Męczennika spowiadać swe troski i żale i niejednen odchodził pokrzepiony na duchu.

Brylowa przystanęła, zrobiła znak krzyża świętego i z piersi jej uciśnionych wydobył się szloch.

Tomek ani spojrzał na Chrystusa, czapki nie uchylił, nie tyle z braku wiary, ile na złość matce.

To dopełniło miary jej oburzenia. Ani się spostrzegł, przyskoczyła do syna, zdarła mu czapkę z głowy, do stóp krzyża rzuciła i ręką skuloną w kulak grzmotnęła go z całej siły po plecach.

— A będziesz ty pamiętał, lutrze jakiś, że przed krzyżem Jezusa trza głowę odsłonić!

Tomek rozwścieklony chciał się odmachnąć, ale Brylowa podreptała szybko naprzód.

Schylił się, podniósł czapkę i opamiętał się. Porwał go nagły żal. Sam się zdziwił nad bólem, który skurczył mu serce. Obejrzał się na krzyż. Coś w nim krzyczało wielkim głosem, coś, co od

dziecka w nim wzrosło i czego wytepić, wyrwać doszczętnie z duszy nie potrafiły żadne przycinki Jura i jego kompanji.

— Jezu! przebacz mi! przecie ja wierzę w Ciebie! — wyszeptał i puściwszy naprzód matkę, skręcił boczną ścieżką na pole.

Tymczasem Bryłowa zwolniła kroku. Oto z za drzew parku wyłoniła się Jagna, idąca z ćwierciami po wodę.

— Dzieńdobry, ciotko! — odezwał się zdala miły głos Doleżówny i dziewczyna postawiwszy ćwierci, przybiegła powitać krewną.

— O jejku! toście się zmachali, ciotko! — wykrzyknęła, ujrawszy czerwone plamy i ślady cierpienia na starej twarzy. — Pójdźcie do kuchni dworskiej wypocząć kruszynkę. Jaśnie pani często o was pyta i wszyscy wam będą radzi.

— Teraz nie mogę, Jagódko najmilsza, nie mogę. Jeszcze dość siły znajdę, by zejść do siebie. Ej! nie droga mnie zmarnowała... jeno ciężki frasunek, ciężki dopust Boży. Zajrzyj kiedy do mnie, Jagna, to ci wszystko dokumentnie opowiem, na co dziś moje oczy patrzeć musiały, a uszy wysłuchać.

Otarła twarz z łez i potu i brała się do dalszej drogi. Jagna domyśliła się potrochu, co to był za rodzaj udręki, który ciotkę zmitrężył. I w jej oczach błysnęły łzy... Wdali dostrzegła Tomka, wlokącego się jak winowajca, więc użalając się nad nim, szepnęła do Bryłowej:

— Miejcie z nim cierpliwość, ciotko! Pewnie on też cierpi. Widzi mi się jakiś okrutnie smutny i nieswój.

— Ano, to już sam sobie winien. Zamiast po rózę, wyciąga ręce po chwasty... Całkiem ogłupiał. Ja już sobie z nim rady dać nie mogę...

Skinęła ręką zniechęcona i chciała iść dalej, ale nagle zawróciła.

— Adyć prawda, Jagódko, byłabym przepomniała... Tę nazwaną miljonówkę mam na piersiach. Chcesz obejrzeć?

— Nie potrzeba, ciotko. Widziałam ten papier u kowalowej. Mówiono mi, że wszystkie są równe, jeno nasz numer inszy.

— No, to zostań z Bogiem, śpieszę do wnuków.

— Żegnajcie i idźcie z Bogiem!

Dwie miłości.

Tomasz Bryl, z pomocą Kurdela, spieniężył świetnie krowę na jarmarku w L. W posiadaniu stu dziewięćdziesięciu tysięcy marek obszedł jak triumfator wsie okoliczne, zdobywając dla stronnictwa Jura, zwanego „Toplą“ (Towarzystwo Obrony Polskiego Ludu) wielu zwolenników, rozrucił między nimi kilkadziesiąt broszur, które w namiętym tonie, pełnym pogroźek, wzywały lud do obrony przeciw wyzyskom kapitalistów, obszarników, chlebobawców i kleru. Autorem broszury był Adam Sośnik, ale sam niedługo przebywał w L. Choć żadnych dowodów jego współwiny nie było — od czasu okradzenia kasy wielkodomickiej policja miała go na oku, co go drażniło i wypędziło prędzej niż zamierzał,

z L., podczas gdy jego piśmidełko wędrowało od domu do domu, od chaty do chaty, wnosząc z sobą ferment i jad nienawiści klasowej. Gdy w powrotnej drodze, Tomasz Bryl okalał dwór wielkodomicki, aby przejść na drugą stronę wsi, spotkał dziedzica z córką i p. Bączkiewicza, idących razem oglądać siew buraczany.

Tomek ledwie dotknął czapki, bo nauczono go, że państwo nie zasługują na staroświeckie ukłony. Domicki, zajęty myślami, nie zauważył przechodnia, ale Różę uderzył dziwny wyraz twarzy Tomka.

— Wszakże to był młody Bryl? — zagadnęła Bączkiewicza.

— Tak, proszę łaskawej pani — machnął ręką — gałgan z niego, buntowczyk! Jeśli tak dalej postępować będzie, skończy na szubienicy.

— Ależ, panie, to chyba pomyłka, to chyba nie syn Franciszka i pocziwej Marcjanny! Wiem, że dostał się w złą kompanję, lecz trudno mi wierzyć, aby w tak krótkim czasie zbolszewiczał zupełnie.

— Proszę łaskawej pani, to jedna z ofiar tego łotra rymarza Kurdela i braci Sośników. Bryl zawdzięcza tej przyjaźni, że ledwie zipie na swem gospodarstwie, a matka włosy sobie wydziera, bo są tam i sieroty do wychowania.

— Naturalnie, znam je. Dwóch miłych chłopczków po Józi, która zmarła w czasie wojny. Babcia posyła jej codzień garnuszek mleka, bo im padła krowa... ile razy mnie Józią spotkała, błogosławiła...

— A teraz jej mąż przeklina — dorzucił rządcą.

— Biedne sieroty. Słyszał tatko, co pan Bączkiewicz mówi o Brylu?

Domicki ocknął się z zadumy.

— Słyszałem. Szkoda go. Brylowie osiedlili się w Wielkodomicach, gdy mój dziad rozdawał kmiotkom grunta. Babka tego Tomka podawała moją matkę do chrztu św. w trzeciej parze, razem z Kołodziejem. Mówiono wówczas: „na szczęście!“ Dziś wnuk otwarcie występuje przeciw dworowi! Ale nie jego potępiam... Ci, co są u góry, odpowiadać będą za wszystko zło, które się dzieje w Polsce.

— Panie dobrodzieju — odezwał się Bączkiewicz — brat Sośnika wydalonego i Kurdel chodzą po wsiach i namawiają tych, którym dałem terminatkę na Nowy Rok, aby gdzie indziej nie szukali miejsca. Hasło z góry: zostańcie na miejscu, tak ich obalamuciło, że się ruszyć nie chcą.

— Znajdzie się i na takich opornych rada — rzekł pan Domicki — zresztą sami najgorzej na tem wyjdą, gdy im zabraknie drzewa na opał, a chyba po świecie roboty dosyć.

— Namówić do oporu łatwo — wtracił rozgorączkowany Bączkiewicz — ale wyszukać miejsca dla zbuntowanych, tego nie potrafi żaden Kurdel et compania, ani mu też na tem nie zależy. Chodzi mu tylko o to, aby było jak najwięcej niezadowolonych, awantur i waśni. Wówczas zaciera ręce i zerka w stronę Berlina lub Moskwy, rachując, ile mu skapnie za tę robotę destrukcyjną.

— Okropność! — westchnęła Róża — istne błędne koło.

Wśród ożywionej wymiany zdań doszli do pola, przygotowanego pod siew buraczany. Pan Domicki z Bączkiewiczem przystanęli, oglądając orkę. Róża pożegnała ich, skręciwszy w bok na ścieżynę wiodącą wśród łąk do ogrodu warzywnego.

Szła z głową spuszczoną ku ziemi, smutno zamysłona. Choć cicho było na dworze, z łąk i z płynącego po nich strumyka szły jakieś pogwary, szelesty i ćwierkania. Trzy majestatyczne dęby, jak bracia miłujący się wzajem, stały przy sobie posplatane gałęziami i chórem szumiały żałośnie. Szum ich leciał daleko, budził ciszę łąk, płynął po wodzie, wijąc się u stóp wąskim korytem i ginał gdzieś na wiecznie zieleniejących wzgórzach.

Wzrok Róży skierował się w tę stronę; poprzez stare konary drzew przebijały blade promyki słońca zimowego i niosły jej w swych złocistych blaskach wspomnienie szczęsnego dzieciństwa.

Róża uśmiechała się do tych dziecinnych wspomnień, pełnych pustoty i figli. Jakież były to szczęsne chwile! Wówczas jeszcze serc ich nie dotknęły czarne skrzydła rozczarowań, bolesnych rozstań i zawodów! Jaś ukochany żył, był duszą zabaw, specjalnym jej obrońcą i opiekunem.

Z trzech braci ten zaginony na wojnie był jej najmilszym. Marceli miał odrębne gusta i zapamiętania, traktował rodzeństwo trochę zgóry.

Julek słabowity, najmłodszy, budził w niej raczej miłość podobną do macierzyńskiej. Miał serce złote i pełne szlachetnych orlich wzlotów, ale ten marzyciel-idealista podszyty był chorobliwym pesymizmem, podczas gdy Jaś porywał siostrę zapalem. Marceli, ach!... serce jej skurczyło się z bólu na wspomnienie brata. Nie śmiała wymawiać jego imienia przed babką i ojcem z obawy, aby nie wyczytali z jej twarzy, co im grozi! Kochała całą duszą Wielkodomice i strach ją ogarniał, co stanie się z rodzinnym gniazdem, gdy obca duchem i sercem istota obejmie tu pierwsze miejsce... Marceli doniósł jej przed kilku dniami, że żeni się z cudzoziemką!

Pierzchły jasne wspomnienia... Spuściła głowę z westchnieniem. Naprzeciw Róży biegła Jagna Doleżówna.

— Panicz przykazał mi duchem lecieć — trzepała — aby jaśnie państwu powiedzieć, że przyjeżdża do dziedzica gość w ważnej sprawie. Za godzinkę już tu ma być.

— Dobrze. Powiedz kucharce, aby zaraz przyszła rozmówić się co do kolacji. Ale, Jagódko, czemu ci się tak oczy świecą?

— Nic, nic — uśmiechnęła się, zasłaniając rękawem twarz mocno zaczerwienioną.

— Ej, nie omylisz mnie! Nie na próżno żyjemy razem tyle lat! No, dalej — powiedz, co nowego dowiedziałaś się?

— Spotkałam Tomka — wyszeptała Jagna, spuszczając oczy pełne blasków szczęścia — gadaaliśmy chwilkę ze sobą. Bardzo był grzeczny,

bardzo uważny... Okrutnie rad, bo sprzedał krowę za ciężki pieniądz na jarmarku... dał mi też dla forzpana i ogrodnika dwa pisma, a jedno dla mnie... Takie — proszę.

Róża wzięła do ręki broszury, zatytułowane: Broń się! i przejrzawszy je krótko, przedarła na cztery części.

— Ot, co są warte te pisma — rzekła z płomieniem oburzenia w oczach. — Niechaj Tomek nie waży się rozdawać ich naszym domownikom. Kto czyta podobne broszury, już przez to samo staje w rzędzie nieprzyjaciół dworu. A tobie, moja biedna Jagódko, radzę nie zaprzatać sobie głowy Tomkiem. On nie wart twego kochania.

W oczach Jagny zabłysły łzy.

— Jabym chciała o nim zapomnieć... kiej nie mogę. Gdy już raz przystałam do niego, serca oderwać nie potrafię.

— Przecie skarżyłaś mi, że bałamuci się z inną i może z twojej miłości szydzi... Wiem, że bardzo porządny chłopiec z Murzonki chce się z tobą żenić. Zastanów się, moje dziecko, abyś potem nie żałowała, gdy będzie za późno.

— Za żadnego innego nie pójdę... panienko... przecie Tomek, gdy wrócił z wojny, był mi rad. Cała uciecha moja trwała z pół roku... Więc może jeszcze się nawróci do mnie i te złe myśli i złe kochanie od niego odlecą... codzień się o to modłę...

— Daj Boże, bo nie mogę taić przed tobą, Jagno, że Bryl na bardzo złej drodze... pamiętaj, abyś unikała jego towarzystwa.

— O, niech panienska o to będzie spokojna. Mnie ta myśl ani nie powstała w głowie, by go widywać — pierwszy raz od miesiąca zatrzymał mnie i zagadał.

— To dobrze, bądź nadal ostrożna, a teraz biegnij szybko do kuchni, zajrzę tylko do starszej pani i przyjdę do spiżarni.

Róża szła ku domowi zamyślona. Serdeczne uderki i zwierzenia dziewczyny zbudziły w niej uczucia, drzemające na dnie serca, które starała się siłą woli uśpić, ile razy pamięć przywoływała je do życia...

Przed oczami duszy stanął młody ułan, towarzysz z lat dziecinnych... Pokochała go pierwszą, wiosnianą, najczystsza miłością i pewna była, że serca równie oddanego nie znajdzie drugi raz w życiu... Ale Edward Brochocko-Domicki nie posiadał nic... W wojsku mozolnie dobijał się wyższych stopni, by utrzymać matkę wdowę i małoletnie rodzeństwo. Nie mógł więc myśleć o usłaniu własnego gniazdka... Dwie duże łzy spłynęły wolno z oczu Róży...

A wtem z poza drzew parku wyłoniła się siwiutka głowa pani Domickiej, siedzącej przy oknie.

Ręce jej przewijały gorliwie zgrzebne płótno, przeznaczone dla repatriantów, tych najniešťliwszych nędzarzy, wyzutyh z wszystkiego... Przedziwna pogoda ducha biła z twarzy staruszki i szła ku Róży, niby słodka pociecha i otucha...

Szcęście jest tam, gdzie Bóg stać każe... szczęście to nie uśmiech młodości, nie powiew

z kraju słońca, kwiatów i kochania, ale to taki zachód życia pogodny, gdy dusza, obejrzawszy się z zadowoleniem na przebytą drogę, powiedzieć może: Spełniłam to, co kazałeś, Panie!

W szulerni.

Po słonecznym dniu zimowym, siwa, wieczorna mgła objęła swe panowanie nad ziemią. Tomek Bryl pełen szczęsnych myśli i lubego spodziewania, szedł ku miastu L.

Szedł pogwizdując, pełen dobrego humoru i animuszu. Przytulał do piersi, głaskał ręką sporą paczkę banknotów, zawierającą okrągłą sumkę stu tysięcy marek, które mu ze sprzedaży krowy i po spłaceniu najwięcej palących długów zostały. Wprawdzie matka bardzo była przeciwną sprzedaży Bystuchy, ale Jur, znawca, radził gorąco korzystać z wysokich cen, no i handel poszedł gładko.

Z miną zwycięzcy Tomek wszedł do mieszkania Kurdelów. Było w niem gwarniej niż kiedykolwiek. Rozprawiano o czarnym strajku, który miał na wiosnę wybuchnąć. Jedni gorączkowo głosowali, aby nie zwlekać do wiosny, Kurdel i delegat przybyły z X. twierdzili, że obecna pora niestosowna, a strajk na wsiach bezcelowy. Zaczęto się kłócić i trudno było zapaloną młodzież przekonać. Jur zmęczony nawoływaniem do zgody i uciszaniem zbyt krewkich uczestników zebrania, zaprosił gości do stolika, na którym leżały karty i panoszyła się pocieszycielka wiecowników — Baczówka.

Tomek napiwszy się godnie, pełen fantazji zasiadł jeden z pierwszych do gry. Kurdel przedstawił gościom nowego członka towarzystwa, Franciszka Degelusa, wyrażając się o nim bardzo pochlebnie. Przybysz trzymał bank z pańskim lekceważeniem. Miał wybitny typ semicki i elegancką powierzchowność, a oczy skośne, świecące, świdrowały partnerów, jakgdyby chciały przejrzeć do dna, co myślą. Zwłaszcza, gdy młody Bryl rozmawiał na uboczu z Klarą, przepysznie dziś wyglądającą, Degelus nie spuszczał z oczu pary, szeptał z sobą poufale.

Wszyscy wiedzieli, że Tomek był faworytem Kurdelówny. Ten i ów zerkał z podłoba na Bryla, zazdroszcząc mu łask pięknej panny, naogół jednak lubiono go dla jego szerokiej i prostej natury, w której nie było ani cienia zdrady.

I teraz, widząc animusz Tomka, a chłodną i zagadkową twarz nieznajomego, obstąpiono graczy.

Zanim godzina minęła, wszystkie papierki, wypełniające portfel Tomka, przeszły do rąk Jura i jego współnika.

Tomek czerwony był jak burak. Żyły mu nabiegły na czoło, pot spływał po twarzy. Szyderczy wzrok Degelusa odbierał mu pewność siebie, drażniły krzyki otaczających stół przyjaciół.

Wstał i zawołał:

— Do stu piorunów, mam dosyć tego. Nie gram dalej.

— Głupiś! próbuj jeszcze — wołano — może się odegrasz.

— Człeku! za prędko rezon tracisz, trza klin klinem...

— Kiedy indziej, zmęczony jestem — bronił się Tomek — we łbie mi się kręci.

— Zamroczyło cię! napij się, chłopie — krzyknął Kurdel. — Klarciu! he! ratujże Bryła.

— Na zdar, Tomku! do mnie!

Mała rączka Klary spoczęła na ramieniu Tomka, a druga niepostrzeżenie wsunęła mu trzy tysiące marek.

— Biedaku mój — szeptał czuły głos — weź na szczęście...

— Bóg zapłać — wyrwało się po staremu z ust Bryła. — Niema dziś przy mnie nijakiego szczęścia...

— Spróbuj, może ci się uda przyciągnąć je.

Z twarzy Degelusa nie schodził szyderczy uśmiech.

— Ha! z takim talizmanem — rzekł, patrząc z upodobaniem w oczy Klary — można iść po swoje na samo dno piekła.

— Ciągnę bank, dalej, chłopcy, do pracy... czas ucieka... nie traćmy go!

Tomek odwrócił się do kusicielki i rzekł:

— Spróbuję.

Posypały się zakłady uboczne. Degelus stawiał przeciw zakochanej parze... Szczęście jej zrazu sprzyjało... Brył podwoił stawki... nagle wszystko się zachwiało i... banknoty Klary przepadły... Tomek zerwał się — krew chciała go zalać... zrobiło mu się duszno.

— Psia kość — mam dosyć tego wszystkiego. Potoczył się. Klara przybyła mu z pomocą.

— Widzisz — rzekł z goryczą — i twoje pieniądze poszły... Uroczone gały tego, tego, tam — przyniosły mi śmierzdzący pech.

Sięgnął do portfela, przeszukał kieszenie kamizelki, by zwrócić Klarze choć tysiącmarkówkę — były puste. Ucierpiał nad tem jego ambit.

— Jutro ci oddam, Klarciu, jak Boga kocham, klnę się, zwrócę zaraz dług; dziś nie mam już papierka przy duszy.

— Dobrze — dobrze — mogę czekać, to ani gadania nie warte... Niepotrzebnie się frasujesz, oczy ci świecą jak u żbika.

— Jakoś mi nieswojo... Łeb mi trzeszczy...

Pozwolił się wyprowadzić napół przytomny.

Pokusa.

Świtaniem Tomek wrócił do siebie i tak jak przyszedł, rzucił się na posłanie. W południe obudził się z ciężką głową i z cięższem jeszcze sumieniem... Przypomniawszy sobie wczorajszą przegraną i wyleciał z łóżka jak z procy. W izbie było mroczno i pusto — bo matka z chłopcami nie wróciła dotąd z chrzcin.

— Dobrze, że matki niema — pomyślał Bryl — pomarliby chyba ze zgryzoty...

Obejrzał dokładnie portfel, przetrząsnął wszystkie kieszenie ubrania, szufladkę od stołu — nie było nigdzie pieniędzy — dwie, trzy poduszone, poplamione, brudne dwudziestomarkówki i tyle!...

— Psia krew — zaklął — tom się dopiero ubrał! A wszystkiemu winien ten dureń, ta żydowska cholera, co mi pech przyniosła.

Wyszedł na podwórze, kręcił się po niem, zajrzał do stodół, na pole — i wrócił po godzinie

osowiały, znudzony, wściekły. Nagle przypomniał sobie dług, zaciągnięty u Klary.

Schwycił się za głowę, twarz mu spłonęła purpurą wstydu.

— Psia, psia mać — powtarzał ze złością — obiecałem, że jej dziś odniosę, a tu stumarkówki nie mam przy duszy!

Czuł okropny niesmak w ustach. Jakże brać od kobiety i nie oddać zaraz... powinien był duchem lecieć...

Obszedł całą izbę, przeglądał szuflady, gdzie matka składała dorywczo pieniądze... nigdzie nic nie znalazł.

— Głupie te chrciny — mruknął — potrzeba też było tam jechać i marnować zarobek — podróżę teraz takie drogie...

Przeszukał bezskutecznie wszystkie matczyne kryjówki.

— Zabrali d u r c h wszystko — pomyślał z gorącością. — Bronka chciwa wyludzi, wydusi z nich ostatni papierek!

— Usiadł przy stoliku, nakrytym wzorzystym obrusem i bębniąc palcami, czekał aż Bartek upituli mu obiad.

Nagle wzrok jego spoczął na dużej skrzyni, stojącej w cieniu, pod oknem, w której matka chowała swój i całej rodziny przyodziewek. Przypadł do niej jednym skokiem. Była zawarta — ale gdy począł stukać, szarpać zamkiem, podważać go, otworzył go po krótkim wysiłku. W skrzynce leżały poukładane w największym porządku różne szatki matczyne i dziecięce.

W głębi jej Tomek dostrzegł dużą książkę do nabożeństwa, aksamitne sznurówki, wstążki, korale nieboszczki Józki.

Zrobiło mu się dziwnie smutno. Wspomnienie dobrej, kochającej i kochanej kobiety wypelzło nagle z skrzynki matczynej i objęło mu duszę niewypowiedzianym żalem.

Siedział długo pochylony nad skrzynią — brał pokolei rzeczy Józki, oglądał je ze czcią i z nabożeństwem, bezwiednie przykładając do nich usta spieczone gorączką złych namiętności i opilstwa.

Nagle na samym spodzie zmęczony wzrok jego dojrzał pudełeczko nieduże, czerwoną wstążką opasane.

Wziął je do ręki, sądząc, że to pamiątka po Józce i obejrzał dokładnie.

Niewprawna ręka grubem pismem napisała na wierzchu: Miljonówka.

Tomek zadziwił się. Uśmiech lekceważenia przemknął mu po ustach.

— Biedne matczyśko... — westchnął — spodziewa się, że wygra... akurat pieniądze idą do tych, którzy ich potrzebują!

Wzdrygnął ramionami, włożył pudełko na to samo miejsce... A wtem myśl przeleciała mu przez mózg:

— Miljonówka!... toż przecie ma wartość tysiąca, nawet dwóch do trzech tysięcy marek. Właśnie tyle, ile mu potrzeba, by spłacić dług wczorajszy! Niechby wziął milionówkę i zaniósł Klarci... choćby na tymczasowy zastaw... Wstyd przecież od kochanki pożyczać! Sama matka z pewnością nie mogliby chyba sprzeciwić się temu!

Odepchnął jednak te pokusy — ułożył jak umiał najlepiej wydobyte rzeczy napowrót i szybko zawarł skrzynkę.

— Nie pójdę dziś do Kurdelów — zawyrokował. — Klara, bogata dziewczucha, może poczekać dzień — dwa.

Bartek wniósł dymiące misy zupy i perek z kapustą. Bryl odsunął jadło i wyszedł na podwórze. Zajrzał do koni, czy dobrze odpasione i widząc puste miejsce Bystuchy, czuł jak mu fale goryczy zalewają gardło.

Resztę dnia przemarudził między chatą a polem, — poszedł do sąsiadów Dopierałów, by pożyczyć pieniędzy, ale miał dobre imię tak nadzarpięte, iż mu odmówiono.

Nazajutrz popołudniu kręcił się po gospodarstwie; im bliżej było wieczora, tem większa brała go chętka polecieć do Kurdelów. Uśmiechał się na wspomnienie dziewczyny, wyróżniającej go wśród tylu zalotników... W oczach paliły mu się płomienie... Pustka w izbie źle go usposobiła; przywykł do wesołej kompanji i do swawoli...

Przypomniął sobie słowa, które mu przy pożegnaniu szepnęła na ucho kusicielka:

— Przyjdź pojutrze. Nie będzie u nas żadnych nudziarzy, ani głupich zebrzań bolszewickich, ani polityki... Mam tego wszystkiego po uszy... będziemy sami!

— Ale jakże iść z pustą kieszenią i nie zwrócić długu pannie? Wstyd — wstyd — wstyd!

Coś go pociągnęło z nieprzepartą siłą w stronę matczynej skrzyni, gdzie spoczywała miljonówka.

— Matka ani się spostrzegą, że jej niema — rozumował — a za parę dni, gdy będę miał pie-

niądze, choćbym miał sprzedać ostatniego cielaka, odbiorę od Klarci papier zpowrotem, włożę go na to samo miejsce i wszystko będzie w porządku.

Jeszcze chwila wahania, walki z sobą samym i Tomek coraz mniej odporny na pokusy, schylił się szybko do skrzyni, sięgnął po asygnat państwowy z numerem 0050050 i owiązawszy pudełeczko napowrót wstążką, bijącą w oczy barwą krwi serdecznej, wsunął je na dno schowanka — poczem się szybko wymył, przebrał i popędził do miasta L. Sądził, że w mieszkaniu zostanie ciszę. — „Będziemy sami“ — brzmiały mu jak rozkoszna pobudka słowa Klary — tymczasem w oknach paliło się światło i dźwięki miłosnej melodji wydobywały się z mieszkania. To Klara śpiewała — towarzyszył jej męski tenor.

W pierwszej izbie było pusto, natomiast w komnatce Klary, gdzie stało w rogu małe, klekocące pianino, zastał śpiewającą parę. Ona z wyiskrzonemi oczyma, z twarzą płonąca przebiegała palcami po klawiszach — Degelus piosenką, słowami, mimiką, chwytnością się za serce, czarował swą towarzyszkę.

Gdy Tomek się ukazał, Klara grać nie przestając, posłała mu całusa od ust. Jur zaraz przybiegł, pociągnął Tomka do okna, jał rozpytywać, ile rozdał broszur, czy słyszał o zebraniu w G. na którem sam być nie mógł. Ale Tomkowi obojętne były dziś wszelkie broszury, zjednoczenia i stronnictwa; patrzył z podziwem na kolebiącego się Degelusa. Krew uderzała mu do głowy, gdy tenże, przewracając nuty, pochylał się nad Klarą i coś do niej szeptał. Skoro nareszcie Jur poszedł

po jakieś papiery, a Klara wstała od fortepianu, lżej odetchnała.

Piękna panna przyłożyła ręce do palających policzków, przegięła swą kształtną figurę, a potem padła na krzesło obok Tomka.

— Zmęczyłam się — rzekła i oczy przysłoniła rękami, jakby w odurzeniu.

Tomek nie poruszył się, zły, osowiały.

— I cóż nam powiesz nowego, kochany chłopcze? — zagadnęła go, nie podnosząc powiek.

Sięgnął ręką do surduta i wyciągnął asygnat.

— Przyniosłem ci to na szczęście — rzekł Tomek niepewnym głosem — wzamian za pożyczone mi wczoraj trzy tysiącmarkówki. Chyba że... — jąkał się, czewieniąc — wolisz pieniądze...

Chciał dodać, że to tylko chwilowy zastaw, ale odbierały mu wszelką przytomność umysłu, świdrujące go i wyśmiewne oczy Degelusa.

Gdy Jur z Degelusem wyszli, Tomek zbliżając się do Klary, rzekł rozżalony:

— Onegdaj obiecywałaś, że będziemy sami, a ty dziś inna jakaś — nieczuła...

— No, powiedziałam raz — zmęczona jestem.

— Ale, zmęczona! a z tamtym przepiórkowałaś porządnie, widziałem...

— Tylko żadnych wymówek, scen zazdrości! Musisz wiedzieć, że nad wszystko lubię swobodę. Najlepiej będzie, gdy się dziś prędko zabierzesz do powrotu.

— Klaro! Nie gniewaj się, przebacz! Nie mogę ścierpieć, gdy ktoś inny...

— Mój kochany — przerwała mu z gniewem — tylko mnie nie męcz, bo przysięgam ci, gdy raz znudzisz, wszystko skończone między nami!

— Bo ja chciał ci jeszcze powiedzieć a part coś o tej milionówce, którą ci dałem, że to właściwie nie moja, tylko przyniosłem ci ją w zastawie.

— Wszystko mi jedno. Chcesz, to ją sobie weź napowrót, tu są klucze, tylko mnie dłużej nie nudź...

— Klaro! co ja ci zrobił, żeś taka dziś okrutna, taka inna, jakby nie ta sama, a ja cię miłuję bez opamiętania...

— Mówiłam ci już raz, jestem zmęczona. Przyjdź innym razem... a dziś, Tomku, dam ci jedną dobrą radę... idź spać! Wyglądasz jak pół trupa, a pół rozbójnika, aż niemiło patrzeć na ciebie... oczy masz straszne, boję się dziś ciebie...

Zaśmiała się nerwowo i poczęła Tomka opierającego się wypychać za drzwi.

— Cicho! bądź grzeczny, bo... zawołam Jura!

Zgryzota.

Tomek ujrzawszy się na ulicy, zaklął siarczyście:

— Psiakrew, baby! jeno człeka zwodzą, raz ciągną i drażnią, a zaś jak psa kopną nogą i — wynoś się, bratku!

Wzięła go chętka zajrzeć do knajpy i zapicć robaka, ale kieszenie miał puste, a przy obecnej drożyźnie nikt na kredkę nie dawał trunków.

Więc nasunął czapkę prawie na nos i marsz do domu.

Tutaj zastał gwar, bieganinę i głośnie rozmowy. Matka z chłopcami wróciła z Murzonki. Zadowolona była odświeżona i miała pełno uciechnych nowinek do opowiadania Kowalowej, która wraz z córką przyszła w odwiedziny.

Bryl stał wśród swoich osowiały, rozglądający się wkoło... niespokojny... Choć nadrabiał miną, usiłując dostroić się do ogólnej wesołości, matka spostrzegła zaraz, że jej się i dzieciom nie ucieszył wcale i widok ponurej twarzy syna prędko rozwiał jej swobodę i dobry humor.

— Panno święta — rozmyślała z przerażeniem — co on tu musiał nabroić, co za nowy grzech wziął na sumienie! Toć wygląda bezmała jak upiór, jak zbereźnik... i przytem kiej winowajca!

Od czego była matką, by odrazu spostrzec mękę i walkę wewnętrzną, którą Tomek staczał z samym sobą.

Ani jej do głowy nie przyszła milionówka. Gdy kobiety wyszły, prędko wpakowała do łóżek chłopców, zmęczonych drogą i wrażeniami i przewietrzywszy garderobę, odświeżne rzeczy włożyła do skrzyni. Nie spostrzegła wcale, że nie była zamknięta, ani żadnej w niej zmiany. Gdy się z porządkami uporała, zbliżyła się do Tomka. Siedział z pochyloną głową, jak człowiek nieszczęśliwy... więc matczynem sercem ścisnął żal. Poglądziła go po twarzy, po głowie i chcąc do poufnej gawędy zachęcić, spytała:

— Bystuchę sprzedałeś, synku?

— Sprzedałem...

— Może to i lepiej — rzekła dobrotliwie — choć byłam temu srodze przeciwna, rozumiem, że ci pieniądz potrzebny. Piec się już napół rozwalił i bodaj przetrzyma do wiosny. Bartek gadał, że dwa koła u woza popsute, trza o reparacji pomyśleć. Dantela spłaciłeś aby?

— Splaciłem — odparł Tomek z ulgą i wstał, by skończyć tę męczącą indagację. Palila go myśl o zabranej milionówce. Coś go parło, by przed matką wywnętrzyć się, otwarcie przyznać do wszystkiego. Ale bał się jej gniewu... Wszak musiałby zdradzić, że krowa poszła na karty. Tegoby matka nie przeżyła! Więc nie oglądając się na nią, automatycznie powlókł na podwórze. Po krótkiej chwili usłyszała, jak wrócił ze dworu i rzucił się na posłanie.

Dwa dni upłynęły napozór spokojnie. Tomek był dla matki pełen szacunku, ale w oczach palił mu się czarny smutek i... niepokój. Trzeciego dnia wstał, skoro świt i poleciał do sąsiedniego młyna. Posiadał jeszcze trochę ziarna, przygotowanego do wiosennych zasiewów i te postanowił spieniężyć.

Młynarz chętnie dał mu jako zadatek parę tysięcy marek; około południa z pełną kieszą udał się do miasta L. Tam zamierzał od Klary wykupić milionówkę. Nie mógł już dłużej znieść dręczącej go niepewności i lęku — drżał przy każdym poruszeniu matki... Gdy wracał do izby, wzrok jego, pełen niepokoju, kierował się zawsze w stronę skrzynki, niemej współniczki jego winy. Trzy dni nie widział Klary. Trzy dni, które zdawały mu się wiekami. Ujrzał ją na ulicy. Czerwone piórko spływało zalotnie z czapeczki, muskając jej bujne, rdzawego koloru włosy.

Uśmiechnęła się do Tomka, a jednak wyraz oczu nie zdradzał zadowolenia. Młody Bryl odczuł, że jej spotkanie wcale nie ucieszyło. Był onieśmielony. Klara umiała równie dobrze wabić jak odstręczać.

— Idę właśnie do ciebie — rzekł, patrząc jej w oczy pokornie — nie widzieliśmy się trzy doby. Pokazała mu figę.

— Nic z tego! Jur wyjechał, a ja mam sto sprawunków na mieście.

— No, to zrób pięćdziesiąt, a zaś daj mi chwilkę czasu... przyszedłem z interesem.

— A pfe! z interesem! pewnie znów jakie głupie strajki! Gardłem mi one wychodzą. Myślałam, że stęskniłeś się za mną.

— No, to się rozumie, wszystko ci wypowiadam, Klarciu najukochańsza... idziemy razem?

— Nie, nie! — zaśmiała się.

— Nie lubię przyjmować gagatków, gdy brata niema w domu.

— Od jakiego czasu? — zaryzykował Tomek.

— Hm! od czasu, jak uważam, że to potrzebne — odparła zimno.

— No, nie gniewaj się na mnie, kobieto miłowana.

— Kobieto! — syknęła — kiedyż się nauczysz mówić po ludzku? Taki rubaszny chłop wychodzi z ciebie, Tomku, że aż mdło się robi. Degelus śmieje się z was wszystkich.

Bryl drgnął. Krew uderzyła mu do twarzy.

— Aha! wyszły szydła z miecha, widzisz to żydowskie ścierwo...

Obrażona zrobiła parę kroków naprzód. Tomek przytrzymał ją gwałtem.

— Klaro — kobie... zlituj się, — przebacz mi! Ja dziś naprawdę przyszedłem z interesem. Chciałem ci zwrócić pożyczone mi trzy tysiące marek, a odebrać asygnat. Wiesz, mówiłem ci

wtedy, że nie mój własny, jeno matczyny. Toć na chwilkę wejść mi pozwolisz razem z sobą do mieszkania. Pamiętam, że ten papier schowałeś do szufladki.

— Ani na chwilę. Znam cię, ptaszku! A co do tej milionówki, o którą ci chodzi, wczoraj wywędrowała z mego biurka... Tak, tak. Nie patrz na mnie, jakbyś mnie chciał pożreć. Potrzebowałam na sprawunki trochę papierów i Degelus milionówkę odkupił ode mnie. I wiesz, co mi dał wzamian? Dwa tysiące marek niemieckich!... Wiesz, ty łuby głuptasku, jakie mi szczęście przyniosłeś!...

Spojrzała mu w oczy z czułością, ale Tomek stał oniemiały, jak do ziemi przygwożdżony.

— Klaro, cóżeś ty zrobiła! — zawołał, chwytając się za głowę — przecież ja ci mówił, że to była własność matczyna i... i... pewnej znajomki! Bój się Boga, kobieto, co ja teraz pocznę, nieszczęśnik.

— A bo ja wiem? Nie czuję się winna — dałeś, wzięłam z grzeczności. Nie pamiętam nic, co do mnie powiedziałeś. Ale stało się! Tomku, dla tak błahego powodu nie przybieraj grobowej miny. Powinieneś się cieszyć, żeś mi się przysłużył i przysporzył kilka banknocików.

— Cieszyć się!... — zawołał z goryczą — ach, jakaś ty szelma — a co powiedzą oni...

Wzdrygnęła gniewnie ramionami.

— Oni — oni — przedrzeźniała gwarę Tomkową — co mnie do nich... Obojętne mi, co powiedzą. Żegnam cię, nie mogę dłużej przystawać z tobą na ulicy — już i tak języki na wszystkie

strony rozpuściły się, że ci jestem za nadto przychylną, a ty, niewdzięczny, coraz częściej osowiały, dziki, o byle co wściekły! Jeśli się nie poprawisz — wkrótce stracisz moje łaski...

Poszła...

Tomek długą chwilę patrzył za nią, głęboko dotknięty. Czuł, że gra z nim w ciuciubabkę... że śmiech jej i czułości brzmią fałszywie... że coś rozprzęgło się w ich stosunku... coś stanęło na drodze lubego porozumienia. W chłopską naiwność i ambicję uderzyła niby obuchem ta pewność, że Klara bawi się z nim tylko i nigdy nie zechce zostać jego żoną.

— Czyżby ten żydziak mnie wysadził? — rozmyślał gorzko w powrotnej drodze. — Czy na złość mnie wykupił asygnat matczyny?

I pobiegł „pod Gwiazdę“, gdzie mieszkał Degelus, ale mu powiedziano, że nocą wyjechał za granicę.

Co teraz począć? gdzie się udać po radę?

Szedł wolno ku domowi, pełen złości, frasunku i zgryzoty. Przeklinał Kurdela, zgraję biboszków i karciarzy, z którymi się związał, przeklinał swoją słabość i namiętność do Klary. Och! zaprowadziła go daleko, dalej niż sam chciał i przypuszczał. Przypomniawszy sobie, ile razy mętne rady i wskazówki Kurdela, przepełnione bolszewizmem, budziły w nim niesmak — wstręt nawet — ale wiedział, że zerwać z bratem znaczyło wyrzec się Klary. Więc ślepy i głuchy na wszystko, co nie było miłowaniem, grzęznął dalej w błocie.

Ścieżką wijącą się wśród pól wracali ludzie z kolei. Przeszło ich kilkunastu — rozprawiano głośno. O parę kroków dalej szła stara kobieta, uginając się pod ciężarem tłumoków. Raz poraz przystawała, postępując.

— Ondzina niesie towary z Łodzi — mówili idący przodem. — Nakupuje coniemiarą bielizny i butów i zaś paskuje.

— Ba! każdy ratować się musi jak może — a dziś starej ciężko na świecie.

— Ha! ma syna, chłopak jak topola, toż matce dopomóc winien.

W tej chwili Jagna Doleżówna ukazała się na ścieżce. Szła szybko, niosąc paczkę z kolei, zaróżowiona od pośpiechu, a w słońcu mieniła się tęczą barw kolorowa jej spódniczka i twarz zdrowiem tryskająca.

— Dobre południe wam, Ondzino — przywitała starą — widzę, żeście się namogli — dajcie, pomogę wam.

I schyliwszy się, tłumok Ondziny ujęła w ręce i w mig zarzuciła go sobie na plecy.

— Dobre z ciebie dziecko, Bóg niech cię zagnym mężem opatrzy — rzekła stara.

— Dziewucha na umór — mruczały chłopcy, oglądając się na Jagnę.

Bryl niedostrzeżony patrzył na sznur przechodniów, ciągnących od kolei, słyszał przy mówki, skierowane ku Jagnie, widział jej usta świeże, twarz różową i tryskającą dziecięcą wesołością i dziwne uczucia zagrały mu w duszy.

— Hej! — krzyknęło mu coś do ucha — czy inatka nie mieli racji, gdy powiedzieli mu raz:

Chłopcze, straciłeś rozum, zamiast po różę — wyciągasz ręce po chwasty.

Odwrócił się twarzą w przeciwną stronę, by nie widzieć ludzi. Wargi mu zbielewały, w oczach zamigotały sępie błyski...

List Julka Domickiego do siostry.

Kochana Różo!

Wracaj coprędzej — bo u nas zaszły chińskie awantury. Najpierw tatko dostał wiadomość poufną, że na liście majątków, zdatnych do rozkolonizowania, zapisane zostały... Wielkodomice! Czyż to nie tragifarsa? Na donos Kurdela et comp. taki zasłużony człowiek, jak tatko, potomek rycerskich przodków, zasiedziały od sześciu wieków na Wielkodomicach, zmuszony był przedstawić przed komisarzem bilans swoich dochodów!

Naturalnie ta podła machinacja spełźnie na niczem, ale co za ból dla tatki! Nie szarpał się, nie odgrażał, lecz widzę, jak z podwojoną miłością przygląda się Wielkodomicom — mam wrażenie, że chciałby je objąć w ramiona i bronić — bronić — bronić...

Druga awantura, niemniej bolesna. Wystaw sobie, że bomba pękła... Marceli doniósł stanowczo i otwarcie, że żeni się z Francuzką — rozwódką! Istny piorun z nieba! Nie rozbroiły tatki końcowe zwroty listu Marcelka, opiewające chęć pracy dla kraju, gdy obecny ferment przeminie.

Aż strach było patrzeć na niego! „Żaden Domicki — mówił — nie opuszczał posterunku, gdy Polska w potrzebie... Karykaturę z niej robią, wyrodni synowie. W Kościele katolickim niema rozvodu. Małżeństwa Marcelego nie uznają, a gwiazda paryska nad Wielkodomocami nie zaświeci.“

Ach, Rózo kochana, co to za smutek! Tatko postarzał się o lat dziesięć — przerazisz się jego widokiem! Marcelego wydziedziczył — wczoraj był w sądzie w P. Na mnie spogląda badawczo, jakby chciał zmierzyć moje siły... czy wystarczą do dźwigania brzemienia gospodarstwa na Wielkodomocach. Najlepiej, aby ciebie zrobił spadkobierczynią uniwersalną. Ty jesteś zdrowa, mocna i mądra, a ja robak mizerny, skończony cherlak. Wszystkiem, co się dzieje wkoło nas, strasznie się trapię. — Babcię musieliśmy przemocą położyć do łóżka — dostała febry i głowa jej się trzęsie. Więc wracaj, Kochana Rózo — o ile masz, zaraz, zaraz.

Twój kochający Cię

brat Julek.

Numer 0 050 050 wygrał!

Andrzejkowa w miłym towarzystwie Kołodziejowej wracała z dalekiej, o! bardzo dalekiej wyprawy po zakupna, bo aż... z Łodzi! Namówiła ją do tej podróży Ondzina, która co parę tygodni wyjeżdżała do słynnego z fabryk miasta. Kasprowa stateczna, czterdziestoletnia kobieta, wracała bardzo zadowolona z wycieczki, gawędziła bez końca z Ondziną o tem, co obiedwie widziały

i słyszały w wagonach, w składach, na ulicach — ale Bryłowa czuła mocno w kościach mitręę podróżną. Prosto ledwo ze zmęczenia na nogach utrzymać się mogła. Już było koło południa, gdy nareszcie przeciągły gwizd lokomotywy zwiastował kobietom, że zbliżają się do celu.

Kasprowa poklepała po ramieniu Bryłową.

— Zbudźcie się, kumo, jesteśmy doma. O tłomoki nie miejcie kłopotu, pomogę wam wynieść, a pewnieć syn czeka na was na stacji.

Wyrzała przez okno.

— A Słowo się stało Ciałem! Co tego luda! Co to może być? Sami domicy! Chyba się tam coś zrobiło nowego... Jeno wyrzycie, Ondzino... Czegoś tak wrzeszcza, rękami machają, wiwają!...

— Matko Boska! powarjowali czy co?... Jakieś zmówiny abo wesele... Jest też Jagna Dołężówna, jest Leduch i wasz Kaspar...

Andrzejkowa zaciekawiona zmęczoną, siwą głowinę wychyla przez okno, a na jej widok gwar wzrasta, podnoszą się wołania... Ludzie tłoczą się do przedziału przybyłych kobiet... Bryłowa nie może spokojnie zejść ze stopni, porywają ją czyjeś ręce, niby piórko — ściskają, krzyczą, winszą...

Oszołomione kobiecko zrozumieć nie może co się stało.

— Chrystusie! ogłupieli, czy jej ze zmęczenia pokreśliło się w mózgu...

— Numer 0050050!... Numer 0050050 Miljónówki wygrał! To wy, matko, to wy, Andrzejkowa!... to wasz numer — trąbią jej w uszy, jeden przez drugiego.

Jagna wesółą, śliczną, promienną bierze ciotkę w objęcia, ściska ją, że aż kości trzeszcza.

— Ciotko! — woła — wygrałyśmy! Czy mnie rozumiecie? Czy słyszycie? Wczoraj w gazetce stało wyraźnie. W ostatniem ciągnięciu miljonówki numer wygranej padł na 0050050! O, tu napisane... patrzcie jeno dobrze.

Pokazuje jej pomiętą gazetę, z wiadomością czerwonym ołówkiem podkreśloną.

Andrzejkowa wytrzeszcza oczy. Wpatruje się w pismo napół przytomnym wzrokiem... Czytać nie umie, ale mimo to wlepia źrenice w czarne litery, na których spoczęły palce Jagny.

— Matko Boska, ratuj! bo chyba zemdleję ze szczęścia...

A tu wkoło niej pełno luda... Ciagną ją za suknię, wrywają ją sobie — zdarli jej z głowy chustkę... Jakiś urwisz chce z nią wywinać „na ocipkę“.

Jagna wyteęza wszystkie siły, by bronić ciotki przed tak namacalnemi dowodami przyjaźni i uciechy, ale każdy chce swą radość okazać.

Nareszcie szczęśliwe posiedzicielki miljonówki, po długich korowodach, uściskach, zapraszaniach mogą lżej odetchnąć i posunąć się ku domowi.

— O Jagódko — szepce Bryłowa, uwiesiwszy się do ramienia dziewczyny — czy to aby prawda? Czy mnie się przypadkiem nie śni?...

— Prawda, ciotko!... najprawdziwsza. Sam starosta dał orędzie gminie już zawczora, jeno że wy macie papier schowany u siebie, więc trza go pokazać i zanieść do L.

— A Tomek gdzie? Czemu ten nie przyszedł na kolej po matkę?

— Niewiadomo, gdzie się obraca. Wczora wujek Wojciech był u niego dwa razy, wedle tej milionówki, ale go nie zastał w domu — westchnęła Jagna.

— Matko! — wołają na Brylową z różnych wózków, dudniących po szosie wielkodomickiej — zabierzcie się z nami, podwieziemy was do wsi...

Ale stara ma dosyć objawów ludzkiej życzliwości.

— Bóg zapłać... pójdziemy pieszo, Jagódka mi tłomok niesie, to jakoś pójdzie.

Idą razem ze stacji. Jagna uśmiecha się do ciotki, jak do dziecka. Naturalnie o niczem innem nie mówią, tylko o swem szczęściu i planach na przyszłość. W zielonem zbożu płyną dwie postacie, jakby na falach nadziei... niebiańskiej.

— Wiesz co, Jagna, chciałabym Pietrka wyedukować na księdza. Sprawiedliwy jest, honorowy, da się zacnie pokierować — a księżyków brak — mówił na misji ten ojciec filipin z Krakowa. Kiedy Jezus tyle groszy zesłał, to trza mu się odwdzińczyć... A zaś Marcyś niech na roli pracuje jako dziad. Tomek wciąż za ziemią wzdycha, może się da i rolę zaokrąglić... co myślisz?

— Za ziemię okrutnie drogo trza teraz płacić... pewnikiemby wam nie starczyło...

— A ty, Jagna, służbę porzucisz we dworze, czy co?... hej! będziesz miała teraz swatów co niemiara...

Dziewczyna posmutniała.

— E, co mi tam — machnęła ręką — nie chcę żadnych swatów. Z panienką Różą останę do śmierci...

Andrzejkowa odetchnęła.

— Wierne masz serce, Jagódko, Bóg takie lubi nagradzać. Mało teraz przyjaźni mają ludzie...

Rozmawiając poufnie, doszły do krzyża. Tu obiedwie rzucają się na kolana, wdzięcznością przejęte, całują stopy Chrystusowe... a choć nie mówią nic do siebie, każda to samo imię poleca Boskiemu miłosierdziu.

Rozmodlone idą dalej w milczeniu. Od tych rozkrzyżowanych ramion Zbawiciela i ust rozwartych straszną grozą, spływa do ich dusz prostaczych nieopisany smutek. Nie ból to, nie żal — ale jakowaś nagła pogarda dla tych papierków, które niebawem zapełnią ich kieszenie... pogarda wszystkiego, co ziemskie i co nabyć można za... pieniądze.

Już są w Wielkodomicach. Tutaj Jagna oddaje tłumok ciotce i żegna ją.

— A nie wnijdiesz, Jaguś, choć na chwilkę malutką obejrzeć ten szczęśny papier — miljonówkę?

— Nie, ciotucho — już mi trza duchem wracać do dworu — państwo czekają na paczkę, a długo na dworcu zmarudziłam czasu. Jutro poproszę panienkę, by mi pozwoliła iść z wami na starostwo... Panicz radzi nam zaraz złożyć do kasy pieniądze, wedle złodziei, bo teraz tak na świecie, że lepiej doma nie trzymać szarych. Wujek Wojciech obiecał iść z nami, to nam wszystko mądrze obmyśli.

Pożegnały się.

Jagna frunęła jak ptak w stronę parku. Widok chaty Tomkowej żalem przejął jej duszę...

— Co mi po pieniądzach... bez Tomka! Wolałabym jego serce bez pieniędzy... A on coraz

więcej barłóży się i mówią, że okrutnie się w ostatnich miesiącach zmienił... Osowiały, mrukliwy, strach do niego zagadać! Myślałam, że choć przyjdzie powinszować wygranej... Wczoraj czekałam do późnego wieczoru... ani go widać ani słyszeć było. Wszystko mu nijakie, i matki milionówka i moja uciecha obojętna!

Wolno, wolno wlokła się przez wieś Bryłowa. Choć parę kroków dzieliło ją od domu, musiała przystawać, nie mogąc tchu dostać.

War i ziąb buchały jej na twarz, głowę i ręce, ciężar przytłaczał lewą pierś i żgał po sercu.

Weszła do izby, tłumok nierozpakowany rzuciła na ziemię.

Pośpiesznie zbliża się do skrzynki — otwiera ją, unosi wieko i z pod szat ułożonych w porządku, wydobywa pudełeczko czerwoną wstążeczką przewiązane.

Śmieją się starcze usta, młodzieńczą pustotą... oczy płoną blaskiem naiwnej uciechy... wygrana przybiera kształty i rozmiary czegoś z czarownej bajki!...

A wtem — o zgrozo!... Co to jest?

— Jezusie Nazareński!

Zduszony krzyk... ręce podnoszą się do góry, oczy bielmem zachodzą...

— Tomek, ratuj!... — i ciało Andrzejkowej Bryłowej bezwładnie opada na ziemię. Jeszcze jeden szept bolesny, wyrwany z najgłębszych ciemnic jestestwa... rzeźenie... i cisza grobowa...

Bartek głuchy nie słyszał krzyku, ale wiedziony dziwnym przeczuciem, zajrzał do izby, czy gospodyni wróciła...

Wszedł... spojrzał na trupa Bryłowej, już zastygłej w niemym bólu, i dygocąc z przerażenia, wyleciał na wieś.

Z ściśnionej krtani chłopca niehumanitarne wydobywały się głosy... Biegł naoslep — sam nie wiedział dokąd, rękoma machał, wskazywał na chałupę Bryłów, belkocząc coś niewyraźnego i zanosząc się od płaczu.

Ludzie podążyli za nim. Zrobił się krzyk, zamieszanie, lament kobiet nie do opisania. Szukano na wsze strony syna. Tomek, gdzieś przepadł bez wieści... Widziano go w mieście L. — ale któż go tam odnajdzie! Zabarłował się i tyla. Nie pierwszy to raz i nie ostatni.

Późnym wieczorem wrócił do domu. Matka leżała już na desce wymyta, wyszykowana do trumny, jak na gody. Leżała cichusko, położyła i kiejby szczęśliwsza niż za życia... Dobrze, kochające ręce oddały jej ostatnią przysługę i przygotowały na wieczystą drogę.

Tomek ociemniały, znieczulony i napół świadomy co ma robić, długo, długo wpatrywał się w matkę, nie zdradzając ani lęku ani żalu...

Automatycznie płachtą nakrył jej ciało i usiadł przy okienku, patrząc bezmyślnym wzrokiem w ciemność.

Nagle drgnął... coś szarpnęło odrętwiałym sercem i płomieniem uderzyło w twarz. Gdzieś w kącie izby ujrzał porzucone pudełeczko z napisem: „Miljonówka“. Było rozwarte, pustką świecące — obok wiała się niby krwawa smuga czerwona wstążka...

Zrozumiał. Rzucił się na te nieme świadki swojej winy i szybko usunął je z przed oczów

ludzkich. Począł go dławić lęk — i ból ogromny rozdarł mu duszę... Nie dość miał zgryzoty, jeszcze to zwały się na niego i zanurzyło szpony, dręcząc sumienie: Zabijeś!...

Co było powodem śmierci Bryłowej — nikt nie wiedział. Przypuszczano, że ją zmoгло zmęczenie podróży.

— POCO jej było jeździć tak daleko — aż do Łodzi!

— Nie nacieszyliście się, kumo, waszą miljonówką — oj nie! Przeszliście koło szczęścia... — szeptały baby. — Jezusik nie chciał wam wyświadczyć tej pociechy. Za te papierki niech wam syn sprawi godny pochówek.

A Tomek milczał — nikogo nie pozdrawiał ani zapraszał do izby śmiertelnej. Szerniał — oczy miał podkrążone, a wyraz ich trzymał ciekawe kumoszki w odległości.

Tylko Jagna sercem kochającym przeczuła tragedję Tomkową i nie chciała wystawić go na upokarzające indagacje.

Tak przeszło niedziel kilka... Chmury w wypadki brzemienne, zbierające się nad polską wsią, zwróciły umysły w inne strony — w Wielkodomach przestano mówić o zaginionym asygnacie.

Bez maski.

Dwa tygodnie całe Tomek nie zaszedł do Kurdelów. Od tragicznej śmierci matki żywił głęboką urazę do Klary — przytem zawział się do pracy, jakby go coś paliło, by odrobić zmarnowany grosz. W myśli poprzysiągł sobie, iż nie spocznie,

póki nie zdobędzie pół miliona marek, by zwrócić tę sumę Jagnie Doleżównie. Robota szła mu od ręki i sąsiedzi cieszyli się zmartwychwstaniem Tomka. Ale i Kurdel nie spuszczał go z oka; któregoś dnia Adam Sośnik zjawił się w chacie Bryła, opowiadał o rozmaitych zręcznych obrotach Jura — o jego wielkim rozumie i wpływie nad ciemnotą chłopską — o smutku Klary, do której smali cholewki Degelus — i lada dzień ta para się zaręczy. Gdy Sośnik wyszedł, Tomek dłuższą chwilę siedział jak osowiały. Nagle porwała go szalona ochota raz ostatni napić oczy widokiem urodziwej panny, zemścić się, bryznąć jej prawdę w oczy, sąd nad nią zrobić. Zadzwoił do mieszkania Kurdelów. Dziewczyna służebna oznajmiła mu, że pan majster i narzeczeni poszli zjeść kolację, pewnie są „pod gwiazdą“, bo tam zazwyczaj chodzą. Tomek bez chwili namysłu poszedł do wskazanej kawiarni. Przy małym stoliku siedział Jur i kurząc z fajki, czytał gazetę, obok Klara różowa, uśmiechnięta, obnażona i strojna, przekomarzała się naprzemian to z Degelusem, to z Adamem Sośnikiem, to z jego bratem. Kilka wypróżnionych butelek świadczyło, że trunków nie żałowano sobie.

— Tomek, hola! Tomek, bywaj! — zawołał Adam Sośnik, ujrawszy młodego Bryła.

Jur odkładając gazetę, zapytał:

— Co się z tobą dzieje, Tomek? Nie widzieliśmy cię parę niedziel. Już chciałem dać nawołanie, czyś odstąpił od nas? Czy cię jaka spódnica, lub gorzej, może jaka sutanna nie odciągnęła od naszej wesołej kompanji?

Tomek onieśmielony spojrzał na Klarę.

Skinęła mu głową przyjaźnie, ale zaraz przechyliła się w stronę Degelusa i coś mu do ucha szeptać poczęła.

— Siadaj, chłopie — zachęcał Tomka Kurdel — i rozchmurz oblicze. Wyglądasz mi jakoś kiepsko.

— Matkę pochowałem — odparł cicho Bryl.

— A — prawda! słyszałem, — no to masz teraz miejsce w chałupie i musisz poszukać godnej towarzyszki.

Zagadnięty machnął ręką obojętnie.

— Posłuchaj, Tomku — mówił Jur — prawdę mówiąc, obecnie nie mam wcale ożenku twego na myśli. Nikt z nas o sobie myśleć dziś nie może i nie powinien, jeno o tem, by zrobić porządek w kraju. Za tydzień, dwa — mam takie rozkazy zgóry — wybuchnie strajk rolny. Nikomu do pracy wyjść nie będzie wolno... ale ponieważ, na pewno wśród kmiotków znajdą się durnie, osły i zdrajcy, więc potrzeba mi ustanowić w każdym okręgu, w każdej gminie, ludzi zaufanych i ochotnych, którzy staną na czele... — tu Jur nachylił się do ucha Tomka — którzy staną na czele bojówek... Nie jesteśmy drapieżni, nie chcemy krwi rozlewu i rozumie się, że suta nagroda czeka każdego, kto przyczyni się do podtrzymania strajku.

Bryl słuchał w milczeniu słów Kurdela. Pierwszy raz przyjaciel mówił bez obsłonek. Tomka ścisnęło coś w gardle i wstrętą gorycz napłynęła mu do ust. Dwa tygodnie odsunęły go od tych ludzi, niby dwa wieki. Szepty Klary z nowym narzeczonym wyprowadziły go z równowagi, sprawiły nieznośny ból. Widział, że z miłowania swego do tej urodziwej panny nie był

wyleczony i chyba nigdy z jej uroku wypłatać się nie potrafi.

Błyszczące oczy Klary, które potrafiły głaskać i ujarzmiać, jej uśmiechy, półsłówka skierowane były ku Degelusowi. Młodzieniec promieniał. Zawiedłe jego żółte policzki rozogniły się — mięsiste wargi ukazywały długie zęby, nos semicki stykał się niemal z ustami. Płacił wszystkie zachcianki Klary i wydobywając z portfelu banknoty zachęcał narzeczoną do picia szampana.

Tomek czuł, że dłużej tantalowych mąk nie przetrzyma. Odsunął szorstko podany sobie kieliszek i podniósł się z takim rozmachem, iż talerze razem ze szkłem zadźwięczały złowrogo, a tu i owdzie drogocenny polał się płyn.

Klara szybko dała hasło do wstania. Adam Sośnik z bratem poszli witać się ze znajomymi na sali. Jur, Degelus i Klara opuścili knajpę razem z Tomkiem.

Śliczna pogoda zachęcała do przechadzki. Kurdel wziął na bok Degelusa i coś mu szepnął na ucho — siostra jego naprzód wysunęła się, zachęcając Tomka, aby jej towarzyszył.

Szli dłuższy czas w milczeniu. Miasto leżało już za nimi. — Księżyc wypłynął na niebo, jasnymi smugami oświecał drogę i drzewa stojące na jej straży. Zdala dolatywał gwar miejski, nawoływania, gwizdki, turkot powozów, buczenie autobusów — a od strony Wielkodomie dolatywał ciepły wietrzyk i nucił cicho jakieś tajemnicze pieśni przyrody, niby lubą kołysankę serc zakochanych.

Tomek drżący i wzruszony zbliżył się do Kurdelówny i rzekł:

— Klaro, czy zechcesz mnie posłuchać?

Głos jego brzmiał prosząco i łagodnie.

— Owszem, wysłucham cię bardzo chętnie, — odparła z sztuczną obojętnością. — Idźmy prędzej naprzód. Ale Tomku, powiem ci zgóry, cokolwiek masz mi do powiedzenia, nic się już zmienić nie da.

— Dlaczego? raz przecie chciałbym się dowiedzieć, co ja ci zawinił?

— Nic, lecz i ja też nie mam winy, że wczoraj dałam słowo Degelusowi.

Przystanęła i spojrzała niespokojnie po za siebie.

Tomek przejechał dłonią po czole i rzekł ponuro:

— Wiem o tem. Matka mieli słuszość, — wybuchnął, — gdy mi odradzali z tobą zawrzeć znajomość. Nie chodź, mówili, do obcej, nie swojaczki, bogatej panny z miasta, pobawi się z tobą i zaś rzuci, jak uprzykrzoną zabawkę gdy inny, bogatszy się nawinie.

— A no, czemu nie słuchałeś matki? ty poczciwy synalku — drwiła — nie trzeba było ścigać mnie i zalecać się do mnie.

— Klaro! — zawołał zdumiony. — Czyż mnie nie zachęcałaś do zalotów? Czyś mnie nie nęciła całe wieczory, aż nie odebrałaś rozumu?

— Cicho! uspokój się, nie mów tak głośno. I ja wiedzieć nie mogłam, żeś taki czuły, ty wdo-wiec, wojak, za którym oglądają się dziewczyny. Znajdziesz po mnie sto innych.

— Nie gadaj tak! Nie chcę żadnej innej. Ludzie mnie przestrzegali przed tobą, mnie było wszyst-

ko jedno, co inni sądzą, wierzyłem ci, gotów wszystko zrobić, byleś mnie kochała.

— A nie pierwszy ty tak do mnie mówisz. Wszyscy się klną na kochanie mocne jak śmierć, a potem zapomną.

— Wiem, masz dużo załotników, ale inni szukali cię dla swawoli, dla wesołej kompanji, albo i dla strawy dobrej, lub napitku Kurdela. Jam oddał tobie wszystko, com posiadał. Przez ciebie stara matkę do grobu wpędził, przez ciebie wydarłem z serca obraz miłującej, szlachetnej dziewczyny, byś ty jedna w nim królowała, przez ciebie zapisał ja się do kompanji Jura, choć mnie niektóre gadania wstrętem przejmowały, choć sumienie żarło, a ziemia-matka wołała: Synu, źle czynisz, szczując brać na chlebowawców. To wszystko przez ciebie — a co za to mam?

Klara po raz wtóry obejrzała się za siebie. Kurdel z Degelusem tak byli daleko i tak zajęci rozmową, iż nie potrzebowała lękać się argusowych oczu narzeczonego.

Zbliżyła się do Tomka i położyła mu rękę po ufałe na ramieniu.

— Tomku! — rzekła przyciszonym głosem — czemu mnie dręczysz? Czy nie widzisz, że ja cię lubić nie przestałam?

— Lubisz mnie — rzekł porywczo — a z tym się zmówiłaś.

— E! z ciebie zostanie głuptaszek do śmierci. Przecież sam się przekonać musiałeś, iż nie pasuję do waszych niskich chałup. Miałbyś tylko frasu nek z utrzymaniem takiej jak ja żony.

— Byłem gotów dla ciebie dobytek sprzedać, chałupę rzucić — odparł smutno Tomek.

— A potem co? Pod parasolem chciałeś mieszkać ze mną? — zaśmiała się. — Dzieciuch z ciebie! Pobrać się w takich warunkach byłoby wierutnem głupstwem, prawdziwym nieszczęściem, ale Tomku, — zniżyła głos do szeptu, — ty mi się podobasz... o! aż zanadto. Wolałabym, abyś mi był mniej miły... Poco tak wyrzekasz i desperujesz, robisz awantury. Czy my się to widywać nie możemy, choć zostanę żoną Degelusa?

Wobec okropnego cynizmu wybranej kobiety Tomek zdrętwiał. Prosta, uczciwa jego natura chłopska, obalamucona, lecz do gruntu jeszcze zgnilizną moralną nieprzesiaknięta, zatrzęsała się.

— Nie! nie chcę takiego podziału, ani brnąć dłużej w grzechu i rozpuście! — zawołał z mocą, — musisz wybrać: albo aksamitne życie z tym żydowskim cherlakiem, albo mnie. Czuję, że dłużej tego wszystkiego nie przetrzymam — zaduszę go, jak psa — albo ciebie i siebie razem.

— Cicho! Uspokój się...

Zamknęła mu usta ręką i pociągnęła w cień!

— Łatwo tobie gadać — mówiła wzruszona siłą uczucia, buchającego z jego słów — ale widzisz, Tomku, każdy chce używać życia po swojemu. Ja jestem sierotą, wyrosłą na bruku, nikt mi nie wskazał, gdzie uczciwa droga, ani nie podał ręki, by wydobyć z nędzy. Muszę to robić, co mi każe Jur... jestem od niego zależną. Wysłuchaj mnie Tomku, spokojnie, błagam cię! Powiem ci dziś wszystko otwarcie... Jur należy do tajnej komunistycznej organizacji. On tu w L... założył „gniazdo“. Potrzebuje do pomocy trzech do sześciu ludzi. Już ma trzech: Degelusa i Sośni-

ków... Ciebie oddawna miał na myśli — ale — niedowierza ci... Twierdzi, żeś za miękki, nie dojrzwały do czynu...

— Do jakiego czynu? — spytał Tomek niechętnie.

— Właśnie, że i ja nie jestem ciebie pewną... choć klniesz się, że mnie kochasz... Przysięgnij, że nikomu nie powiesz...

— O co tu chodzi? przecież muszę wiedzieć...

— No o co? to cały plan rewolucyjny. Trzeba w pierwszym rzędzie zwalczać religię katolicką i Kościół — podtrzymywać wśród mas chłopskich bunt i niezadowolenie... i... i...

— Chyba tego dosyć — mruknął Tomek. — Czyż i my będziemy ciągiem mówić o tych sprawach, a nie o naszym kochaniu?...

— Czekaj! bądź cierpliwy. Muszę ci wpierw wszystko dokumentnie wyłożyć. Otóż Degelus podjął się wywoływać panikę wśród burżujów, Adam Sośnik z bratem mają stanąć na czele bojówek, które będą utrudniały obszarnikom w zbiorach.

— Ładna robota, niema co mówić — wybuchnął Tomek, któremu krew uderzyła do twarzy.

— Hm — ciebie czeka jeszcze ładniejsza...

— Jakto mnie? nie rozumiem...

Szaro-zielone oczy Klary rozbliły, usta drażniły zagadkowym uśmiechem... Schwyciła Tomka za głowę i do ucha szeptać mu poczęła:

— Tomku, od tego co ci powiem, zależy nasza przyszłość... Jeśli mnie kochasz, zrobisz o co cię proszę, inaczej musimy się pożegnać...

Tomek nie poruszył się... Choć miał umiłowaną tak blisko siebie, jakiś ziąb obejmował mu serce strasznym przeczuciem.

— Jur chce abyś ty, jako dawniejszy wojak agitował wśród żołnierzy, dostarczał mu różnych szczegółów wojskowych z kraju i to co mu będzie potrzebne wywiadywał się od kolegów, którzy są jeszcze w wojsku czynni... Jeśli się tego podejmiesz, mój ukochany, będziesz miał grubo, grubo pieniędzy i... twoją Klarcie.

Chciała się jeszcze więcej zbliżyć, przytulić do Tomka, ale on odepchnął ją szorstko, odskoczył od niej, jakby oparzony rozpalonem żelazem. Miał wrażenie, że nie kobieta stoi przy nim, ale dzika kotka, która mu pazury zatapia w duszę.

— Kobieto! — krzyknął — tyś chyba szatan wcielony. Ty mogłabyś człowieka doprowadzić do zbrodni. Jak śmiesz mi coś podobnego gadać! Pfuj! co za hańba i podłość! Dość tych świństw i paskudu.. Gotów ja był dla ciebie wyzbyć się nawet ojcowizny, tej ziemi, którą miłuję z całej duszy, ale oszukiwać własny kraj...

— Ciszej, kto mówi o oszukiwaniu... nie przesadzaj!

— Zdradzić go dla podłego zarobku... Nigdy!

— Głupiec jesteś, gbur, cham niewykształcony, widzę że z tobą nigdy nie dojdę do końca...

— Prawdę rzekłaś — cham jestem niewykształcony, ale nie zamieniłbym mego pochodzenia i uczciwego, wiejskiego rodu na wasze brudne sumienie! Idź, idź — do twych kochanków, niech cię w złoto oprawia! brzydzą się tobą i gotów nienawidzić, boś ty mnie sama wyleczyła z miłowania.

Odszedł, nie obejrzał się ani razu, choć sły-
szał wołanie Klary: — Tomek! Tomek! to był
żart, tylko jedno słówko jeszcze — uciekał jakby
przed złym duchem.

Klara stała chwilę zirytowana i odurzona.
Nie leżało w jej zwyczajach rozstawać się z wiel-
bicielami na wojennej stopie. Wprawna w sztuce
podbijania, potrafiła zawsze gniew ich uśmierzyć,
omamić obietnicami. A Tomek był jej na prawdę
bardzo miły. Choć sama dobrowolnie demorali-
zowała to uczciwe serce, ujmowała ją naiwność
wieśniacza, bezgraniczne zaślepienie i przywiza-
nie młodego Bryła. Kurdel z Delegusem podeszli
do niej. Zagryzła wargi, by nie rozplakać się
i zapanować nad wzruszeniem, które może pierw-
szy raz w życiu ścisnęło jej gardło serdecznym
żalem za odrzuconym.

— Gdzie Tomek? — spytał Jur.

— Odszedł — odparła sucho.

Degelus spojrzał jej wymownie w oczy.

— No Klarchen! — zawołał — dobrze, że na-
reszcie dałaś mu laupass.

— To był złoty chłopak — odburknęła.

— Czuć go gnojem i oborą — zaśmiał się De-
gelus.

Kurdel trochę niespokojny mówił:

— Mam nadzieję, że go niczem nie zraniłaś.
Taki jak on naiwny i zapalony, bardzo mi potrzeb-
ny — a coraz ich mniej — czy wyluszczyłaś mu
wszystko?

— Tak — odparła — wszystko — i spojrzała
porozumiewająco na Kurdela.

We wzroku Jura zadygotał błysk lęku.

— I co ci odpowiedział?

— Uciekł, by już nigdy nie wrócić...

— A ba! złowimy go napowrót.

— Wątpię... podobały mu się tylko moje oczy — wybuchła Klara, mszcząc się na obydwóch za swe rozczarowanie — a wasze sprawy przejmowały go wstrętem. Będiesz miał teraz w Brylu wroga.

— Nie obawiam się takiego wroga — wzdrygnął ramionami Kurdel — ale ty Degelus, musisz nam to wszystko sowicie zapłacić.

— Chętnie — odparł żartobliwie — bo i mnie oczy Klarchen odebrały rozum.

Ujął pannę z galanterją pod rękę i pocałował jej coś wesołego szeptać do ucha. Biła od niego woń drogocennych perfum — a głos pieścił słodką melodją wyznań...

Zanim doszli do miasta L., Klara już była rozchmurzona.

Tomek szedł samotny w nocną pustkę i ciszę, szedł tą samą ścieżyną, którą pół roku temu przebiegał w towarzystwie matki. Kochająca rodzicielka poszła do grobu; nie pożegnał jej, powiek jej nie zamknął, ani nie przeprosił. Nie zgasła mu na rękach i krzyżem nie pobłogosławiła. A on, który bił się za wolność Ojczyzny, zaciągnął się w szeregi tych, co działali na zgubę kraju rodzinnego! Ojcowiznę nieomal całą już roztrwonil — miłujące go serca podeptał... Przejął go wstręt i wstyd samego siebie! Czy wiele brakowało, by nie runął w przepaść?... Podniósł głowę i spojrzał na krzyż. Nagle jakaś potężna siła rzuciła go do stóp Chrystusa. Wielka żalność poczęła nim wstrząsać, z głębi piersi wezbranej łzami wyrwał się szloch: O Jezu! Jezu! ślubuję ci odmianę życia.

Ogłupiona brać.

Z szarych opon nieba spływały potoki deszczu; chmury coraz czarniejsze, wodą, gradem i piorunem brzemienne, przesuwały się szybko, grożąc nową nawałnicą. Od tygodni trzech na polach leżały splezy posieczzonego żyta, owsa, mieszanki, tu i owdzie pszenicy; splekiwane deszczem, czerniały w oczach zafrasowanych gospodarzy i jakby malały — a beznadziejnie chmurne niebo nie zwiastowało upragnionej pogody. W Wielkodomicach świetny urodzaj, poważnie był zagrożony. Stary Domicki, Róża, Julek, Bączkiewicz, codzień chodzili oglądać pokosy przemokłe, badali barometr i jeden drugiego pocieszał systematycznie głosem brzmiącym nieszczerze:

— Zdaje mi się, że jutro będzie pogoda.

W całej Wielkopolsce zresztą nie mówiono o niczem innem, tylko o stratach poczynionych przez zalewy, o strasznej klęsce głodowej, grożącej krajowi.

W ciepłe południe Julek wpadł do pokoju siostry.

— Wiesz co? barometr idzie w górę, podskoczył łokieć.

— Cudownie, dlaczego masz tak tragiczną minę?

— Dlaczego? nie chcę cię straszyć Różo, ale choćby nastąpiła najpiękniejsza pogoda, ze sprzętu nic nie będzie...

— Jakto? mój Julku, zapanuj nad nerwami. Twój wieczny pesymizm jest zabijający!

Chłopiec zwiesił smutno głowę.

— Pesymizm, pesymizm — powtórzył — a ja ci oznajmić muszę, że prowodyrzy chłopów zapowiedzieli generalny strajk na 15 sierpnia — jeśli nie pomoże biały — to czarny i czerwony!

Oparł głowę o poręcz krzesła i widać było, że wstrzymuje się od płaczu.

— Ależ Julku, przesadzasz.

— Pan Bączkiewicz mówił mi dziś rano, że dotąd u nas jeszcze w zbożu niema szkody.

— Pocziwy Bączek, zawsze pociesza tatę i ciebie, ale spójrz na niego, szerniał, schudł, wylusiał.

Róża westchnęła i przepasawszy głowę chusteczką ponsową, chciała wyjść.

— Pójdę na wieś — rzekła.

— Różo — zatrzymał ją Julek. — Wiesz co? Zapomniałem ci powiedzieć dobrą nowinę.

— Edzio Domicki ze swoim sztabem przyjechał do L.

Róża zaczerwieniła się gwałtownie i chcąc ukryć pomieszenie, schyliła się ku ziemi, niby szukając rękawiczek.

— Ach! Edzio — wykrztusiła panując z całych sił nad głosem. — To dobrze, będziesz miał przynajmniej raz po raz miłego towarzysza. Czy to już pewne?

— Zupełnie pewne. Rozmawiał telefonem z p. Bączkiewiczem i dopytywał się o nas wszystkich.

Róża wysunęła się w milczeniu. Julek wstał i przeszedł się parę razy po pokoju.

— Muszę tę parę skojarzyć — pomyślał. — Niechby były choć dwa serca szczęśliwe w rodzinie. Biedna Róża. Wiem na pewno, że... kocha Edwarda. Trzeba im dopomóc. Zresztą ani bab-

cia, ani tatko, nie sprzeciwiłoby się połączeniu tej pary. Babcia przepada za Edziem, a tatko?...

Zamyślił się jeszcze głębiej.

— Tatko? — powtórzył — znajdzie w nim godnego zastępcę na Wielkodomicach.

W nocy straszna rozpętała się burza; strumienie wody spływały potokami z góry. Zaciekły orkan wył i wyrывał drzewa, szturm gradowy szalał, bijąc w szyby niemiłosiernie.

Na polach widok przerażający! Żyto, mieszan-ka, leżą jak wbite w ziemię, owies wymłócony. W ogrodzie warzywnym najsilniejsze spustoszenie. Kwiaty powieszały smutno łodygi, jarzyny i owoce potłuczone, całe masy śliwek i jabłek porozrzucane w bezładzie, nie do użycia. A niebo jeszcze niewypogodzone! Słyszać groźne pomruki; przewalają się chmury zapowiadające nowe nawałnice. Duszno jakoś i parno, bucha wilgoć, coś niedobrego klębi się w powietrzu, coś uraga sercom zatrwożonym, biorąc całą przyrodę w posiadanie. Ale stokroć smutniejsze od nawałnicy gradowej, to, co się dzieje w podwórzach i na polach.

Ludzie chodzą z głowami spuszczone ku ziemi, w wielu oczach niepewność, smutek, lęk. Jakiś głos wewnętrzny przestrzega ich, że to co czynią jest wobec oplakanych żniw, wprost zbrodnią, lecz ogłupieni, pchani jakąś złowrogą siłą, rzucają sierpy i uciekają do chat, by ukryć wstyd, bezradność, oraz wyrzuty sumienia. A po drogach uwijają się na bacyklach, przelatują w szybkim tempie agitatorzy, ludzie młodzi, silni, zdrowi, czarnych strajków wysłańcy, rozwożą buntownicze odezwy, zachęcają do wytrwałości w bezro-

bociu, grożą pomstą tym, którzy się wyłamują z pod opieki związku.

Jak się to wszystko skończy? Gdzie kres głupoty ludzkiej z jednej a przewrotności z drugiej? Serce zamiera z bólu.

Stara gwardja — broni plonów...

W chacie Kołodziejów było gwarno. Na życzenie starszego syna zebrało się kilku najprzedniejszych gospodarzy z Wielkodomie, Dąbrowy, Leciewa, w celu omówienia i potępienia strajku rolnego, który miasto ustawać panoszył się w całej pełni. Zapijając smaczną kawę, wystawioną przez Kołodziejową, goście rozprawiali poufnie, bolejąc okropnie nad nieszczęśliwym bezrobociem, pogłębiającem kraj cały w materialną nędzę. Najczęściej głos zabierał sołtys, kowal Kołodziej i Secki, ten ostatni zwłaszcza był niepoślednim mówcą i umiał braci przekonywać, — ale i stary Dziełata z Leciewa, tęgi głowacz, człek uczciwy i stateczny, a na książkach wyuczony, nie pozwolił się przegadać.

— Bracia kochani! — mówił, — chcecie mi wierzyć — czy nie — ale wam się tu przyznam otwarcie, że patrząc na to, co się teraz u nas święci, codzień płaczę jak dziecko. Ja stary przebyłem niejedną w życiu opresję, ale teraz, gdy widzę te masy zboża marniejącego dla ciemnoty i głupoty ludzkiej, gdy pomyślę o głodzie i nędzy czatującej braci naszych w miastach, gdy sobie wspomnę o niewdzięczności ludzkiej względem Chrystusa i Matki Boskiej Królowej korony pol-

skiej, to chociem do płaczu nie skłonny, babą nigdy nie byłem, mógłbym już nie beczeć, ale ryć nad tem nieszczęściem matki naszej Ojczyzny.

Na te słowa dały się słyszeć różne cmokania i wycierania nosów i wśród tych poważnych ludzi nastąpiła głęboka cisza przerywana cykaniem zegara i westchnieniami babuli.

Kował podniósł swoją potężną postać i rzekł:

— Niesposób już dłużej patrzeć spokojnie na te głupie strajki i bunty, musimy winowajcy — wiecie o kim mówię — dać nauczkę, aby mu się odechciało kreciej roboty.

— Oddawna mam już z tym gałganem Kurdelem na pieńku — odezwał się sołtys — synów mi bałamuci, we łbach im przewraca, od pracy na roli odciąga.

— Najgorsze z wszystkiego, to ta nienawiść względem chlebowawców, którą wpaja w serca młodych i niedoświadczonych — rzekł Wojciech Kołodziej. — Przecie my od dziecka patrzymy na naszego dziedzica i ja go tak kocham, żebym go wyniósł chętnie na szczyt komina od gorzelni, by go wszyscy widzieli i czcili jak świętego.

— A ludzie kochani! co im dobroć znaczy — zawołał Dzielata. — Wiecie wy, nie chwaląc się, ja mam taki dar od Boga nadzwyczajny, większy jeszcze niż miał Werwiński z Zalesia: Oto konowała nigdy nie widziała moja chałupa. Sam umiem leczyć każde zwierzę, odbierać młode. I w całej wsi Leciewskiej, a nawet na okolicę, gdzie się jeno żrebak czy ciele urodzić miało, albo jaka bestja zachorowała, przywołano mnie na pomoc. Było roboty nieraz dużo, czasem 5—6 razy na

tydzień, do mnie w prośbę kto zaszedł, nigdy nie odmówił, ani złamanego szeląga nie wziął zapłaty, jeno tak po bratersku służyłem radą i pomocą... a dzisiaj za to wszystko jak mi się odpłacają? Ot niema dnia prawie, by mi nie grozili, że mnie na pierwszej lepszej gałęzi powieszą, że mi kije sprawia, że mnie podpala — za to, że trzymam z obszarnikami i łapy im liżę. Na zebraniu w G., gdy wyrznąłem im prawdę, byliby mnie potłukli na maść, gdyby mnie syn nie był wyprowadził. Więc mnie to jeszcze więcej utwierdziło, że takimi Kurdelowi nie chodzi o poprawę doli robotnika, którym i ja wszelkiego dobrego z serca życzę — jeno o prosty rabunek... o szkodę kraju no i o zapchanie własnej kieszeni.

— Racja, racja — rzekł Kasper. — A wiecie wy, kto nam dostarczył najwięcej tych przewrotnych i marnotrawnych synów? Westfalja! Stamtąd przywędrowały pół chłopcy — pół pankowie, co starą wiarę przodków zatracili i jeno przewrotnym hasłom służą.

— Tak, tak, — przytakiwali sołtys z Tanowa i Matulak — my wiemy coś o tem, bo i u nas kręci się ptaszek niebezpieczny, który dużo złego sieje.

— No, musima przecie się poruszyć i nie dać tym gałganom rej wodzić w powiecie — rzekł Kasper. — I wiecie wy, bracia, że ten psiajucha Kurdel wcale nie zapisany do prawnego związku R., jeno na własną rękę zakłada gniazda komunistyczne i naszych chłopów do siebie przyciąga.

— Za parę dni — wtrącił Wojciech Kołodziej — znowu Kurdel zapowiedział więc na Połęsiu

u Szczutki. Wiecie co bracia? Idźmy wszyscy słuchać, co będzie gadał i nie pozwólma mu dłużej obalamuwać naród.

— Słusznie powiada Wojciech — rzekł Dziełata — i ja się tam zjawię i kilku Leciewskich, dobrze myślących namówię. Niech jeno Kurdelek się zagalopuje, to mu sprawimy!

W tej chwili drzwi cicho skrzypnęły i na progu izby stanął Tomasz Bryl.

Stara Kołodziejowa, która przy rozprawach godnie sobie chrapnęła, aż podskoczyła na zydłu i krzyknęła:

— A Słowo stało się Ciałem.

Zrobiła się cisza. Zebrane grono spojrzało ze zdziwieniem i nie bez frasunku na przybysza.

Od śmierci matki minęło już kilka niedziel, a mało kto widział Tomka; zbyt był żalosny, by iść do ludzi; twarz miał wciąż ponurą i nieprzystępną, tylko zawział się do roboty w polu i pierwszy sprzątnął liche swoje żytko.

To też zjawienie się jego w chacie Kołodziejów, gdzie od pół roku noga jego nie postąpiła, zelektryzowało zebranych.

— Czy cię tu Tomaszu przysłał Jur Kurdel, abyś wywęszył co między sobą radzimy? — zapytał podchodząc do Bryła ostrym tonem Kasper Kołodziej.

Tomek blady i zmieszany chciał coś odpowiedzieć, ale go wyprzedził Wojciech Kołodziej i kładąc mu rękę na ramieniu, po przyjacielsku przywitał.

— Jestem świadkiem, że Tomasz Bryl nie należy do popierających strajk — rzekł, zwracając się do zebranych — a jeśli tu do nas dziś przy-

szedł, to pewno nie jako wróg, lecz jako gość i nasz człowiek.

— Co na to odpowiesz Brylu? — badał go Kasper.

— Wypisałem się z kompanji Kurdela i jemu podobnych — rzekł poprostu Tomek — obmierzło mi to wszystko, na com patrzył. Najadłem się wstydu, żalu i sromoty, iż mam mocną a nieprzymuszoną wolę do was, bracia, napowrót zbliżyć się. To wam przyszedłem oznajmić.

Wszyscy, jak jeden mąż, powstali z miejsc i po kolei ścisnąć poczęli dłoń Tomka.

— Bywaj, bracie! — mówili — radujmy się z twego nawrócenia. Młody jesteś, możesz naprawić złe, coś nabroił.

Jeden tylko Filip Berenz, polowy z Wielkodomie, wielbiciel Jagny Doleżówny, zazdrosny o Bryla, nie zbliżył się do niego i spytał zdaleka, mocno uszczypliwym głosem:

— A ile zarobiłeś bratku na przyjaźni z ry-marzem?

Tomek podniósł głowę do góry.

— Kurdel obiecywał nam ziemię z obszarów pańskich i na tom się łakomił, ale nigdy łapówki nie brał...

— Hm, hm, — przerwał mu Filip — a jako się to skończyło z onym papierem państwowym, z tą zaprzepaszczoną miljonówką? bo nam wszystkim trochę dziwno, żeś żandarmów nie sprowadził, nie szukał porwisza, ani nie starał się, by to wyszło na światło dzienne, kto ją ukradł?

Płomień krwisty buchnął na twarz Tomka. Chwilę się zawahał, potarł czoło i głęboko węs-tchnął.

— Prawdą a Bogiem, należy nam się wyjaśnienie — rzekł z powagą Kasper Kołodziej.

Tomek spojrzał mu smutno w oczy.

— Słusznie rzekliście, należy się wyjaśnienie. Oto otwarcie przyznać muszę, że z mojej winy ta miljonówka przepadła.

Zebrani spojrzeli po sobie zafrasowani.

— Ale, choć klnę się na wszystkie świętości, — ciągnął dalej Tomek, — że złodziejem nie jestem, to mi ciężko, bardzo ciężko, objaśnić całą tę nieszczęsną sprawę, tak publicznie.

— Nie gadaj nic — zawołał Wojciech Kołodziej — wszak mu bracia wierzymy na słowo, a zresztą ten zaginiony papier obchodzi tylko współniczkę śp. Bryłowej Jagnę Doleżównę.

— Przed nią najchętniej w świecie otworzę całe serce, — odparł Tomek z prostotą i spojrzał na Filipa — a jeśli ty masz, bracie, jakie prawa do niej, to i przed tobą.

Filip zaczerwienił się po uszy i nic nie mówiąc, cicho w najdalszy kąt izby zasunął się, bo wszyscy wiedzieli, że Jagna mu nie sprzyja.

Wojciech chcąc zatrzeć przykre zajście, zakreślił się po izbie i postawił na stole butelanę starki.

— Chowaliśmy ją z matką na wesele Jagódki, — rzekł — ale gdy dziś takie tu święto zgody i powrót zbłąkanej owieczki, toć trzeba tę uciechę godnie zapić. Do was gospodarzu Dzielato piję na zdrowie!

Kieliszek szedł kolejką z ręki do ręki. Ścisniano się, języki rozwiązywały się jeszcze więcej i opowieści sypały do późnego wieczoru. Tomek Bryl niewiele mówił, ale szczęśliwość biła mu z twarzy.

Postanowiono od jutra ofiarować dziedzicom na usługi konie, wozy i parobków, oraz dzielnie wspomagać w żniwach — a za parę dni iść hurmem na wiec Kurdelowski do Szczutki.

Teror i gwałty.

Pogoda. Pierzchły gdzieś szare płachty deszczowe — słońce rozbłysło na niebie. Ale w złotych jego blaskach smutniej jeszcze wypatrują pola zasłane pokosami powiędłych, szerniałych zbóż, niedawno jeszcze bujnych, pełnych życiodajnej siły, których nikt nie wiąże, nie osusza, nie zabiera do stodół. I słońce pochyla się zdziwione nad niemi i patrzy jakby z bolesnym niepokojem na to straszne opustoszenie ziemi-karmicielki.

O matko sponiewierana, czy wyżywić zdołasz rzeszę zgłodniałych dzieci, które z najdalszych świata rubieży, z za Wołgi, Kamczatki, z południa i północy, w tęsknocie i udręce wędrują, wędrują do Ciebie! Czy pójdzie na marne ta olbrzymia moc ofiar, krwi, łez, bólu, pracy, potu i znoju ludzkiego — i ty ziemio — ziemio wymodlona, z drapieżnych szpon niewoli wyrwana, staniesz się łupem nowych kramarzy, którzy zagony twe deptać będą, mierzyć i pytać:

— Kto da więcej?

I jakby w odpowiedzi słońcu, z dalekich przestrzeni, z za zielonych smug dmuchnął wietrzyk i na skrzydłach jego przelatywały jakieś śpiewne poszumy i odgłosy. W złotej, południowej poświeśle słychać było tu i owdzie wesołe dudnienie

wozów, gdzieś zajękły kosy, koń zarżał, wół ryknął — nagle odbicie dawnych żniw.

A nagle padły dwa strzały.

Domicki idący z córką w pole, przystanął i schwycił się za głowę.

— Boże! strzelają! Jeszcze tego nam brakowało. Bracia wzajem mordować się będą!

— To na Leciewie, tatko! tam podobno wybuchnął czarny strajk.

— Wiem, wiem, z rozmaitych stron donoszą, że strajk przybiera miejscami coraz ostrzejsze formy. Wychodzą z kryjówek zwyrodniałe jednostki, by powiększać zamieszanie, rozpoczynają bijatyki i strzelaniny. Straszne!

— Ale u nas tatko, nie ustała robota, dzięki Bogu. Mam wrażenie, że strajk nie cieszy się sympatją i jest tylko wymuszony ogólnym terorem.

Poszli na wysoki, zalesiony pagórek, skąd wokoło widać było całą okolicę.

— O! tatko, proszę patrzeć, tam przy cegielni sprzątają. Pan Bączkiewicz przywiózł z L. całą paczkę ludzi. Miasto ruszyło się i żniwuje ochotczo. A tam jedzie na wozie pan Halpert. Dużo gospodarzy przyszło nam też z pomocą. Zobaczysz tatka, że bez dworskich ludzi obejdziemy się i sprzątniemy wszystko szczęśliwie.

— Byle nam Bóg dał pogodę!

Domicki w milczeniu przyglądał się sprzątajacym.

— Co to jest? — zawołał nagle niespokojnym głosem. — Co to jest? Rózo zobacz! jakaś chmara ludzi nadciąga od Różgody? Czego oni chcą?

Róża wspięła się na palcach, dech zatamował jej mowę.

— To jakaś obca fala idzie ku naszym. Są uzbrojeni w kłonicę, w cepy, w widły, w kosy. Tatko! ja lękam się, aby nie przyszło do jakich burd, ekscesów, słyszy tatko? krzyczą, coś grożą...

Domicki zbladł silnie. Porwał lunetę z rąk córki. Pracownicy rozchodzą się. Nie widzę nigdzie Julka... Czy on tam jest? nie wiesz?

— Nie, nie tatko, wiem na pewno, iż szedł w przeciwną stronę.

— To dobrze, on taki porywczy, zapalony. Patrz! Halpert ze swoją gromadką wraca ku domowi, rozpędziła ich ta obca banda. Lepiej, że ustępują przed przemocą. Pójdźmy. Poślę zaraz po policję.

W powrotnej drodze spotkali Bączkiewicza.

— Panie dobrodzieju — rzekł, wycierając pot z czoła. — Rozgódcy wypłoszyli naszych od pracy. Huncwoty! Ponieważ byli w przeważnej sile i uzbrojeni, Halpert wycofał swoich ludzi. Robota wszędzie ustała. Z starostwa telefonowano mi przed chwilą, że radzą narazie przestać pracować, gdyż z powodu tworzenia się band, bojówek, a braku policjantów, nie odpowiadają za nic. Jutro zorganizuje się pomoc wojskową. Dostaniemy ułanów. Pan rotmistrz Domicki telefonował już wczoraj, iż oddaje się na usługi państwa.

— Edzio przyjechał do L.? — radość drżała w głosie p. Domickiego, — to dla nas pomyślny traf! Przygotuj mu Różo gościnny pokój i trzeba

pomyśleć o zabiciu tucznika i skopu, aby wojaków dobrze przyjać.

— Julek wspomniał mi już o przyjeździe Edzia — rzekła Róża, siląc się na obojętność — to i spokój u nas na wsi zapewniony; mundur ułański podziała elektryzująco na opornych.

— O z pewnością — odparł Bączkiewicz — a wspaniała postać rotmistrza dodać może tylko powagi i uroku, jakie wszędzie wzbudzają wojskowi.

Szli chwilę w milczeniu, każdy oddany własnym myślom.

— Nie zgadłaby łaskawa pani — przerwał ciszę Bączkiewicz — kto dziś przyszedł do mnie i ofiarował mi swoje usługi.

Róża jak ze snu zbudzona, spojrzała pytająco.

— Tomek Bryl!

— Co pan mówi, Tomek Bryl!

— Powiedział mi krótko: — Jeśli pan rządca potrzebuje pomocy i rąk do pracy, to chętnie służę razem z moim parobkiem.

— No widzi pan, czy nie miałam racji, że Bryl to z gruntu dobry człowiek, tylko obalamucony. A to się cieszę, to się cieszę — powtarzała Róża. — I powiem panu, że jego nawrócenie w takiej chwili jak obecna, dobrym przykładem pociągnie za sobą wielu opornych. Dowidzenia panu, śpieszę się do babci, bo z pewnością już wstała.

Róża biegła szybko; zdawało się jej, że wyrosły jej u ramion dwa skrzydła — jedno niosło ją do Jagny, by stroskanej dziewczynie zwiastować dobrą nowinę, a drugie pchało w błękity wspomnień. Teraz dopiero rozblęśla radość prze-

ogromna. Serce jej biło do wtóru z drogim imieniem... Edzio! Edzio! śpiewało jej w duszy...

Nie widzieli się rok blisko... praca, troski rodzinne i ciężkie przewroty w kraju, przejmowały ich do głębi, nie zostawiając wiele czasu na wspomnienia, a jednak przyczajone gdzieś w głębinach duszy rozbłyskiwały jasnymi promieniami, rwały się do życia, ilekroć życie nicią poezji i barw cudnych łączyło ich choćby na krótką chwilę.

I oto za dzień — jutro już prawdopodobnie — zadzwonią ułańskie ostrogi, zabrzmi pobudka — i w słoneczność dnia wpadnie śmiech szczerej beztroski, śmiech kochany, jedyny, porywający, śmiech, który zaledwie sercami wszystkich, na przekór, na urągowisko smutków, kłopotów i strajków!...

Jagna Doleżówna szła na wieś nie bez przykrości.

Jakaś złowroga cisza panowała wszędzie. Ludziska markotni, jeden na drugiego siedzieli bezczynnie na przyzbach chat, albo się do wnętrza chowali przezornie, pod nawalem rozżalenia, na które nie mieli lekarstwa.

Zaledwie Jagna uszła parę kroków, ktoś zjawił się w jej pobliżu i po imieniu zawołał:

Z drżeniem serca spostrzegła, że to Tomek Bryl.

— Pochwalony — wyszeptał i skłonił się przed nią nisko.

— Na wieki wieków — odparła, i chciała go minąć, ale Tomek zawołał:

— Jagno! posłuchaj mnie małą chwileczkę — mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Spojrzała zdumiona.

Byłże to ten sam, junak butny i pewien siebie, który tak pokornie prosił i patrzył jej w oczy? Jakgdyby spadła z niego maska dzikiego nieokiełznanego, buntu i hardości, które w ostatnich czasach, twarz jego piętnowały, a odsłoniło się to dobre, dawniejsze, przedwojenne, dziś dłótem cierpienia, przeorane oblicze Tomka, które umiało mu zjednywać przyjaźń starych i młodych.

— Nie mogę dziś pogadać z tobą, Tomku — odparła Jagna — naprawdę — nie mogę — czasu nie mam i czegoś mi nieswojo, boję się...

Zrobiła krok naprzód.

— Boisz się? — rzekł smutno — czy to ja już taki wilk straszny, któryby cię zaraz pożarł? Toż chcę uczciwie ci powiedzieć, że ze strajkującymi nie trzymam i potem, wedle tego papieru, co matka mi pomarli, a o którym ty wiedzieć powinnaś.

— Dobrze Tomku, chętnie cię wysłucham, przyjdź którego dnia do dworu — albo lepiej do babuli i wujka, bo teraz mi naprawdę gwałt, aby się nie ściemniło, zanim wrócę od szewca do dworu.

Rozstali się.

Uśmiech szczęścia przewijał się na ustach Jagny i oczy promieniały.

Tak była przejęta myślą o Tomku, iż nie spostrzegła wcale przechodzących koło niej dziewczyn i groźnych spojrzeń, które się ku niej zwracały.

— A wej! idzie ten przychlebiajek — zawołała jedna — bodajby ją złe skreśliło za to, że z nami nie trzymie, jeno z państwem.

— Świętoszkę udaje! Jak strajkować — to powinni wszyscy razem kupa iść, pokojówka — czy nie.

— Za waszym rozkazem nie myślę wcale strajkować — odcięła się Jagna.

— Jak nie strajkujesz, to do nas nie gadaj, lecz stul gębę.

— To wy gadacie, a nie ja zaczęłam.

— Hola! Jagodo, Jagoduchno, czekaj! pohulamy sobie ślicznie — zawołał jakiś parobek podchmielony — i wśród śmiechu gawiedzi zbliżał się, by objąć dziewczynę ramieniem — ale w tej chwili silna pięść Tomka poczęstowała napastnika kulakiem, tak iż odskoczył, jak oparzony.

— Patrzcie go, Bryl! — zachichotały dziewczęta — przypomniawszy sobie o Jagódce. Co ci do niej? Idź do swej mieszczki, do Klaruni.

Posypały się grube żarty, śmiech złowroźny, szyderczy rozdzwonił.

Jagna przełęczona wpadła szybko do szewca, odebrała buty i chcąc uniknąć dalszych spotkań, pędem puściła się boczną ścieżynką świecącą pustkami.

Już była niedaleko pańskiego podwórze, nagle przystanęła przerażona. Wszystka krew zbiegła jej do serca. W stronę dworu ciągnęła jakaś bezładna gromada ludzi. Twarze były pomroczone i buńczuczne — prowadził ich... Adam Sośnik.

Szli wygrażając głośnie jakby do ataku.

W podwórzu było pusto, ten i ów poszedł pomagać w sprzęcie i kroki zbiegów odbijały się złowrogo, w ciszy zachodzącego wieczoru.

W tej chwili ze stajni wypadł Julek Domicki, a ujrawszy podejrzaną bandę, przystanął. Za-

wahał się — lecz zamiast cofnąć się, podszedł do niej śmiało. Brwi miał ściągnięte, oczy roziskrzzone.

— Czego tu chcecie? — zapytał ostrym tonem — tutaj droga prywatna, nie wolno obcym przechodzić.

— My chcemy pogadać z właścicielem — wysunął się jeden z buntowczyków — bo tu wszędzie robota, a jak nie każecie zaprzestać, to będzie burda.

— Jakto, na własnych polach mamy zakazać pracować? Czyście oszaleli? Panie Adamie Sośniku, czy to twoja nauka i twoja wdzięczność?

— Wdzięczność — za co? Żeście mnie jak durnia wygnali? Mam jeszcze znak na czole od klów twego psa, jaśnie wielmożny Julianie. Dziś ja my górą i my dyktujemy naszą wolę. Niech robotnicy przestaną pracować, bo będzie źle.

— A ja wam mówię, że w Wielkodomicach robota pójdzie dalej, i że nikt do tego wtrącać się nie ma prawa.

— My z tobą nie mamy nic do gadania, żaku szkolny, chcemy się widzieć z twoim ojcem — krzyknął zaperzony Sośnik, postępując naprzód.

— Wynoście mi się stąd! — zawołał Julek porywczo — nie pozwolę iść ani kroku dalej.

— Patrzcie go, paniczek będzie nam tu wygrażał, to chuchro.

— Bierzcie go, chłopcy, i dać mu porządną nauczkę.

Trzech drabów rzuciło się na Julka. Bronił się rozpaczliwie, uderzając szpicrutą po głowach napastników.

Tymczasem Jagna z krzykiem dopadła do wsi.

— O Jezu! rety! rety! ratujcie, ludzie, ratujcie! Panicza mordują! panicza mordują!

Kilka bab i dzieci wylazło z chałup, zrobił się zgiełk. Tomek, posłyszawszy dziką wrzawę, zjawił się niespodzianie.

— Tomek! Tomek! ratuj panicza! do mnie! tu do mnie!

Bryl w kilku skokach rzucił się w wir walczącej grupy.

Ale i jego pomoc okazała się za słaba; podjudzeni, zwrócili się ku niemu, walili go pięściami, tłukli niemiłosiernie.

Słysząc było szamotanie się Tomka, przekleństwa napastników i coraz cichsze zduszone szepty Julka.

Jagna biegła jak szalona, od chaty do chaty, zaklinając, nawołując do obrony. Straszna myśl przeszła jej serce: Tomka zabijają!

A wtem okrzyk szczęścia i podziwu wydarł się jej z piersi:

— Jezus Nazareński!

Rzuciła się na kolana, podnosząc ręce do góry.

Bo oto na drodze wiodącej z miasta L. ukazał się konny hufiec ułanów. Jechali w pełnym galopie — jechali jak rycerze z bajki, młodzi, świetni i dzielni! W blaskach zachodzącego słońca karabiny i jeźdźcy mienili się tęczą barw, słysząc było chrzęst kopyt po żwirówce i wesołe parskanie koni.

Przybywali jak zbawcy w pogoni za buntowczykami w chwili, gdy podłość i nienawiść bluzgały słowa bezecne i mogły były pchnąć oślepionych do bratobójczej zbrodni.

Dzieci, kobiety, stare chłopcy wypadali z chałup, wołając:

— Ułani! ułani!

Na ich widok dreszcz trwogi i opamiętania przeleciał po twarzach napastników. W jednym momencie banda rozpiezchła się w różne strony, uciekali w nieładzie i pośpiechu, chowając się po stajniach, po oborach, po krzakach, parku.

Julek leżał na ziemi, poraniony, napół przytomny, z zaciśniętymi ustami, by nie zdradzić bólu. Tomek kłął na czem świat stoi, poprawiając na sobie ubranie, całe już w strzępach.

Wojskowi w mig zorientowawszy się, przycwałowali na miejsce bójki.

Ten, który jechał na czele, zeskoczył z konia i nachylił się nad młodym Domickim.

— Julek! — krzyknął przerażony — Julek, to ty? Na Boga, co się stało? Chłopcy, co żywo — wołał, zwracając się do towarzyszków — wyłapcie mi do jednego tych opryszków, a ty, Marciniowski, Przyłuk, pomóżcie mi panicza zanieść do dworu.

Julek otworzył oczy i cicho szepnął:

— Edzio! niech się nie wystraszy tatko... i babcia!

— O tak, masz rację. Czekaj! położę ci ramię pod głowę... A to cię urządziła kanalja! Najlepiej zaniemiemy cię tymczasowo na oficynę — dobrze?

— Dobrze, spróbuję wstać.

Ale mimo największych wysiłków Julek nie mógł się podnieść.

— Poślij po Różę — rzekł cicho.

— Nie wstawaj, Julku — pozwól, wezmę cię na ręce — mówił rotmistrz Domicki.

— A ty — zwrócił się do Bryła — widzę, żeś wyszedł cało z tej opresji — idź do dworu i poproś kogo... poproś panienkę.

— Czeka! — zawołał za Tomkiem — nie mów nic — nie wystraszyć państwa. Tylko podaj moją kartę i proś, by panienka zechciała się ze mną zobaczyć. A ja tymczasem zaniosę panicza na oficynę.

— Julku, bądź posłuszny, jesteś lekki jak piórko.

— Marcinowski, zaopiekuj się końmi!

Zanim atoli Tomek Bryl, mocno posiniony i kulający, doszedł do dworu, już wiadomość o napadzie i przybyciu ułanów dotarła do Róży. Przełęczona, z wypiekami na twarzy, wpadła do mieszkania Bączkiewiczów.

Rotmistrz Domicki wybiegł naprzeciw.

— Edzio!

— Rózo!

Dwa spojrzenia... dwie głębie miłości i bezbrzeżnej tęsknoty zwarły się i w tym błyskawicznym momencie była cała pełnia świadomości i potęgi wzajemnego kochania.

Róża pierwsza przysłoniła oczy.

— Jakże mi przykro, kuzynko — rzekł młody człowiek, całując jej rękę — iż spotykamy się w tak smutnych okolicznościach.

— Julek? gdzie Julek? Boże, czy ranny?

— Nic groźnego. Uspokój się. Trochę potłuczony, pobity.

— Ale gdzie jest? Co się stało? Kto go napadł? Przed pół godziną rozmawialiśmy na podwórzu... Był zdrow i spokojny.

— Jakaś obca banda, którą już policja miała na oku, ciągnęła ku dworowi, a Julek bronił im wstępu. Nic więcej nie wiem.

Róża uprzedziwszy ojca, bocznymi schodami kazała wnieść brata do jego sypialni i posłać po lekarza. Chłopiec widocznie słabł...

Edward Domicki nie odstępował go.

— Co za nieszczęście — mówił — że nie przybyłem tu dziesięć minut wcześniej, bylibyśmy tych bandytów sięgnęli, zanim spotkali się z tobą.

— Edziu, nie karz ich za surowo. Byłem bardzo zirytowany — może zbyt porywczy...

— No, zasłużyli za takie łajdactwo na grubą karę.

Julek poruszył się... jęknął. Lewą rękę miał silnie potłuczoną, bok zgnieciony.

— Co ci najwięcej dolega? głowa boli?

— Trochę, ale więcej tu... — przyłożył rękę do serca — ciężko mi oddychać. Tatko już wie?

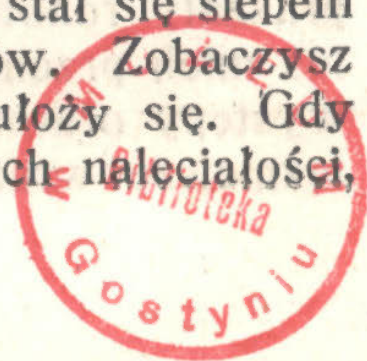
— O tak, zaglądał kilka razy, lecz byłeś senny, więc cofnął się.

— Biedny tatko, jeszcze jeden kłopot więcej.

— Ach! to znów nic groźnego, Julku. Jesteś porządnie poturbowany i to może bardzo dolegać, ale przecie nie masz nic złamanego. Bądź tylko cierpliwy...

— Edziu! cierpieć potrafię... nie zaszkodziłyby mi zewnętrzne cięgi, ale... dobija ból inny...

— Wiem. Zanadto bierzesz do serca te rozruchy, bunt, strajki. To są fermenty powojenne, to musiało przyjść... Nasz kmiotek stał się ślepem narzędziem w rękach przywódców. Zobaczysz jednak, że to wszystko zczasem ułoży się. Gdy lud przejrzy, otrząśnie się z obcych naleciałości,



normalne współżycie ustatkuje się. A co do strajku rolnego, od jutra koniec z nim. Niech tylko oporni ujrzą żołnierza i karabin, zrozumieją, że to nie przelewki i uspokoją się odrazu.

— Ach, Edziu — ale co to za kraj, w którym brat do brata lufą przemawiać musi! Nie mogę się z tem oswoić... nie mogę... nie mogę! Przecież i ja miałem w kieszeni nabity rewolwer... bałem się, że... zabiję.

Róża z ojcem weszli cicho. Edward wzruszony podniósł się.

— Idź do babci — szepnęła mu Róża na ucho — pragnie cię powitać i cieszy się, że przyjechałeś nas bronić.

Edward schylił się do rąk kuzynki. Spojrzeli sobie znów w oczy, i pod nawalą uczuć spuścili wzrok równocześnie, aby żarem spojrzeń, niemą wymową serca nie powiedzieć sobie tego, co jeszcze usta wyszeptać nie śmiały... Oboje nie mogli oprzeć się wrażeniu, iż w otaczające ich mroczne dziś — cicho... cicho... wsuwa się oczarowana chwila zwierzeń i niesie im na swych skrzydłach — szczęście!

Walna rozprawa u Szczutki.

W stodole u Szczutki odbywał się wiec, na który od tygodnia liczne plakaty i odezwy zapraszały robotników. Jur Kurdel, Sośnik i Degelus mieli przemawiać, lecz sprytnie odkładali swe występy oratorskie na szary koniec, aby tem potężniejsze wrażenie sprawić na słuchaczach. Ze-

branie miało dotąd charakter poufnej pogawędki, częstowano się papierosami, ten i ów występował ze skargą, użalał się na drożyznę, paskarstwo itd.

— U naszego wielmożnego zawaliła się stodoła — zwrócił się starszy robotnik do grona towarzyszy, siedzących w pobliżu — i dzieciak mój został tego pokaleczony.

— Słyszycie, bracia? — podniósł Degelus — dziecko pokaleczone, opowiedzcie, jak to było.

— Ano, wlażło za matką, która wzięła trochę słomy dla krowy. Żdziebelko jeno, i nikt nie wiedział, że tam siedzi, matka sobie odeszła i chłopca nie retowano, — byłoby durch zmarniało. A wielmożny stodoły nie reparaował, bo mu żal było pieniędzy, wolał se budować szopy na polu. A ksiądz nasz, zamiast mu wypomnieć te szopy, jeszcze wzion w obronę, że to stodoła miała dobry wygląd.

— Wiadomo, każdy ksiądz trzymie z jaśnie państwem, a chłopem pomiata — wtrącił inny.

— Nasz proboszcz to nami nie pomiata, tego sprawiedliwie mówić nie mogę — zaprzeczyła jedna z sąsiadek — ale na socjalistów tego wyzywa.

— Ba! sali nam użyczyć nie chce na zebrania, że to niby pomstujemy na Kościół. Musieliśwa stać na spiekocie, że się niejednemu wieców odechciewa.

— No, bez tych ciągłych gadań obyćby się można — odparła inna — sprawiedliwie rzecz trzeba, że jeno człeka ogłupiają, że już ani się nie wie, gdzie prawda, a gdzie fałsz,

— Prawda jest po stronie ludu, a zaś fałszerstwo po stronie naszych ciemężycieli, obszarników, fabrykantów.

— My mamy dosyć ślacheckich rządów — zawołał jakiś mało znany zebrany chłop, nietrzeźwy, zawadjacki. — Oni potrafią se jeno hulać z kochanicami, jeżdżąją automobila, potracając spokojnych przechodniów, szampusami się częstują, a my co mamy? Moja kobieta choć chorzała na przednówku, kapki do ust nie wzięła wina, że za drogie.

— Ale zato małżonek godny kieliszek dziś przechylił.

— Moja kobieta, to wam powiem, bracia kochani, taka se jest zadzierzysta, taka w mowie starająca...

— Do rzeczy, do rzeczy; nie obchodzi nas wasza niewiasta.

— Stul gębę, kiej nie masz nic ciekawego do gadania, nie przyśliśma słuchać babskich pier...

Na te słowa powstała pewna niewiasta, pełna rezonu i pewności siebie.

— Nam kobietom wolno dziś narówni gadać z chłopami. Wedle tego chcę też tu mówić, że nam przez strajk obiecywano złote góry, a dostała nam się kupa śmieci.

— Brawo! brawo! mądrze powiedzieliście, matka!

Mówczyni zachęcona niespodziewanem powodzeniem, ciągnęła dalej:

— Mój, po piętnastu latach wiernej służby i przyjaźni pańskiej dostał terminatkę, koniska białe, siwoszki, które nad wszystko lubiał, prze-

szły do innego fornała — straciliśma zarobek całusieńki w czasie bezrobocia, ceny na chleb i towary jeszcze poszły w górę, straciliśma zaufanie państwa, a tamci tylko śmieją się w kulak, a lepszego miejsca nikomu nie nastroczą.

— A widzicie sami, co za brak serca, co za sprawiedliwość — wołał Sośnik — piętnaście lat człowieku biedol się przy koniach i przy pługu. A zaś za byle co — w nagrodę — w pysk! Znam ja ich! Pracuj, męcz się, oświecaj mózgownicę głupiego smarkacza — a jak się nie spodobaś — won! Tacy oni wszyscy. A co dla Polski zrobili? Jeden zaprzepaścił Gdańsk, drugi piękną ziemię śląską.

— Racja, racja, a węgiel taki drogi!

— Każdy ciągnie dla siebie zyski, a chciałby byś ty w pocie czoła pracował. Więc powiem wam, bracia, jeśli strajk się nie udał — zrobimy drugi, gdy będzie zbiórka kartofli.

Ten i ów drapiąc się w głowę, zamruczał:

— Kartofli jeszcze większa szkoda, niż zboża, a tyle go już zmarniało, lepiej strajkować zimą.

— Osły chyba jesteście, nieprzyjacielami własnych kieszeni! Co pomoże strajk zimą? Co ci da dziedzic, gdy będzie miał gumna pełne i brzuch wypasiony? Inaczej śpiewać będzie, gdy go strach obleci, że ziarno albo perka, z której chce wyciągnąć milionowe zyski, pójdzie na marne. Przed własną stratą się ulęknie i będzie wołał wam grubo dodać, niż jedną peruszkę zmarnować. Ale musicie iść wszyscy kupą. Odpowiedzcie, bracia, chcecie podwyżki zapłaty, czy nie?

— No przecie, że chcemy!

— Chcecie mieć pieniądze na zakupno butów czy chodzić boso?

— Chcemy butów! — wołano jednomyślnie.

W ponurem milczeniu siedzący dotąd chłop wstał. Tęgi był i barczysty, na twarzy pocziwej i roztropnej, malowało się rozgoryczenie.

— A ja wam powiem, bracia, że te wszystkie obiecanki, te cuchnące paskudztwem strajki, te przewrotne gadania do niczego nas nie doprowadzą, chyba do buchty. Strajk nam nic nie przyniósł, jeno biedę za pazuchą — i wstyd!

Oczy mu pociemniały od złości.

— Mówicie, że mnie stała się niesprawiedliwość, bom dostał terminatkę — ciągnął dalej — ale wy, psia wiary, coście mi dali wzamian za to, że mi siwosze pan rządca odebrał? Papierki może. Pluję na nie. Antek Fryda siwki dostał i oprząga — a mnie co? Mądry Polak po szkodzi. Takiej czwórki — rzekł, żałośnie spuszcza-
jąc głowę — nikt nie posiada na całą okolicę, bo to mądrale są i pracujące chętnie i łaskawe na mój głos. A tera co? Gdy posłyszę zdaleka parskanie, zda mi się, że na mnie prycają i że mi sąszenie robią za to, że ja, stary chłop, posłuchałem waszych głupich gadań. Niech was gęsia cholera weźmie, wy, psie krwie! psie dusze zatracone!

Jur Kurdel jednym skokiem był na wzniesieniu, przygotowanym dla mówców.

— Bracia kochani! — zawołał. — Czyż ja temu winien, że się strajkującym tak ciężka stała krzywda? Czyż nie winni są ci z was, którzy

rozbijali jedność, przez podle służalstwo, albo strach pańskiego knuta? Czyż nie zawiniły te rzezimieszki, mieszcuchy, co wyszły do roboty i naginały karku, podczas gdy cała nasza partja jednym potężnym głosem wołała: „Nie pracować!”

— Brawo, brawo! dobrze mówi. Niech żyje Kurdel!

Jur uśmiechnięty kłaniał się na wszystkie strony, oczy mu błyszczały jak u żbika. Otarł czoło i ciągnął dalej:

— I skończą się dla was dni ciężkiego znoju i mokołu, skończą się podatki i daniny, od których chytrze uwalniają się ślachcice i obszarnicy, aby z was, biedni ludzie, wycisnąć ostatni grosz, ostatnią kroplę potu! Dostaniecie wbród ziemi, wy, co cierpicie głód ziemi, dostaniecie światło nauki, wy coście wyrosli w ciemnościach, obierzecie sami sobie namiestnika, albo króla, wybieriecie posłów kość z kości, krew z krwi waszej, którzy bronić będą waszych praw i waszej wolności. Nasza partja ma gotowy plan — nie udał się strajk w sierpniu, trzeba go powtórzyć w październiku, gdy obszarnicy obliczać będą, ile milionów z perek wpłynie do kalety. Wówczas ogólny strajk... nie pomoże biały — to czarny, za słaby czarny — no, to czerwone koguty niech zapieją tam, gdzie potrzeba!...

Jakiś niepokój powstał wśród słuchaczy. Podniosły się szepty i protesty; zwłaszcza wśród grupy poważnych gospodarzy, którzy znienacka zjawili się na zebraniu.

Kurdel na nich nie uważał.

— Tu niema gadania — krzyczał zaperzony — musi przyjść do gruntownej rozprawy między proletariatem pogardzonym a szajką panków, hrabiów, klerykałów. Kto pierwszy weźmie się do dzieła, ten zwycięży — pamiętajcie, bracia — die beste Deckung ist der Hieb!

W wielkim ferworze cudzoziemskie słowa wyrwały się z ust Kurdela, ale ledwie padły...

— Niemiec! Niemiec! Szpieg! Zdrajca! Przekupiony!

Podniosła się wrzawa, tupanie nogami, okrzyki. Napróżno Kurdel bronił się, pot spływał mu z czoła, policzki krwią się zalały i żyły wystąpiły na skroniach.

Odruch niezadowolenia przeleciał po sali, z początku słaby, chwiejny, potem coraz więcej gromki i zaczepny.

— Dokąd idą twoje skóry, rymarzu? Ile zarabiasz na podobnych mówkach, łajdaku?

Kurdel wystraszony zwrócił się do swoich przybocznych adjutantów.

— Degelus — zawołał — ty im powiedz teraz, ty wyłoś dokumentnie.

Ale żydek zapewne przeczuwając burzliwe finale, znikł bez śladu.

Młody, dźwięczny głos wybił się z pośród ogólnej wrzawy.

— Nie wierzcie mu, bracia! Jur Kurdel to szpieg przekupiony. Za judaszowe srebrniki namawiał was do strajku, a teraz do gorszych zbrodni popycha.

Wszystkie głosy zwróciły się ciekawie w stronę mówiącego. Tomek Bryl stał z roziskrzonym okiem, twarzą zbiełałą od wzruszenia.

— I jam ongiś zawierzał miodowym obietnicom tego zbója!

— Hi! hi! hi! i czułościom jego pięknej siostry — wtracił jakiś chłopak złośliwie.

— Chorągiewka! — wołał drugi — wczoraj tam, a dziś tu...

— Prawda, żem należał do partji Kurdela, alem się przekonał, że ten gałgan robi świństwa.

Powstał szalony zgiełk, krzyk, bijatyka.

— Ma rację Tomek! Wyrzucicie łotra. Dać mu nauczkę, niech umyka nazad do Westfalji.

— Do Westfalji, rymarzu, co frymarczysz polskimi skórami!

Kurdela krew chciała zalać, oczy mu wyszły nawierzch. Był straszny. Kilku jego przyjaciół poczęło się zrywać, szarpać. Adam Sośnik dał nura. Jur chciał za nim wynieść się, ale nim zdążył sięgnąć po czapkę, poczuł na głowie, na plecach, na nosie, pięści oburzonych polskich kmiotków, a najmocniej walił go stary Leduch, który na ciele Kurdela chciał odbić utracone siwki.

Tomek do bijatyki nie mieszał się, choć go mocno świerzbiała ręka, tylko w oczach drżała mu wielka pogarda i wstręt, więc splunął w stronę uciekającego Jura. Na zaimprovizowanej sali robiło się coraz gwarniej. Wielu zawadjaków, młodych wyrostków, skorych do wybitki i wy-pitki, z fanfaronadą stawalo w obronie Kurdela, byle się tłuc i robić zamieszanie.

Na mównicę wszedł stary Dzielata i zaczął od słów:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

To znów nie podobało się hołocie, poczęli wyć:
— Klerykał, pański zaprzędaniec! nie chcemy go słuchać!

Wówczas porwał się z miejsca Kasper Kołodziej.

— Kto przeciw Bogu i Jego świętym przykazaniom — niech się wynosi!...

Uderzył pięścią w stół, a tyle było siły w atletycznej postaci, w głosie i w wyrazie czarnych oczu kowala, patrzących groźnie z pod krzaczastych brwi, iż przerażone smyki i kilku nieprzychylnych stuliło głowę, a paczka Kurdela obrońców ostentacyjnie wyniosła się, rycząc: „O cześć wam, panowie magnaci!“

Trafił frant na franta.

Jur Kurdel napół żywy i wściekły wracał pieszo, bo mu ktoś skrzył rower, od Szczutki do siebie. Bolały go kości, twarz miał oszpeconą sińcami, z nosa krew mu ciekła — a w duszy poprzysięgał czarną zemstę wszystkim i każdemu z osobna. Zły był na Degelusa, że go w tak krytycznej chwili sromotnie opuścił.

— Psia krew żydzisko! — mamrotał — pokażę ja mu... Klarę zbuntuję, niech popamięta podłą ucieczkę!

W drzwiach mieszkania przywitała go Klara szlochem i krzykiem:

— Jur! Jur! nareszcie wróciłeś! ratuj! leć po policję... Himmel! jak ty wyglądasz?

Nie mógł zrozumieć, co się stało. Sądził, że Degelus przeraził narzeczoną opisem burzliwego zebrania.

— No cicho, nie wrzeszcz — mówił — nic znów takiego. Z chłopstwem zadawać się, zawsze niepewne ryby. Verfluchte Kerle! Właśnie mi też policja potrzebna!

Ale Klara, nie słuchając tłumaczeń brata, krzyczała coraz głośniejsze:

— Złodziej! Złodziej tu był! Okradł nas! Zabrał mi wszystko — wszystko!

Kurdel zachnął się:

— Jaki złodziej? gdzie? przecie byłaś w domu.

— Wyszłam na chwilę z Sośnikiem do kina i na kolację.

— Aha! znów z Sośnikiem! tyle razy cię Degelus błagał, abyś z tamtym zerwała.

Poczęła krzyczeć wydzierając sobie włosy:

— Wszystko mi zabrali! i złoty łańcuch od ciotki Degelusowej, i kolczyki od Sośnika, bransoletkę Franca i twoje pierścionki. Ach! ach! co ja nieszczęśliwa teraz pocznę? Nie może być mowy o weselu. Franc wścieknie się, porzuci mnie! Jur! Jur! ratuj! leć na policję!

Kurdel osowiały słuchał opowiadań siostry.

— Potrzebne ci było wychodzić — wybuchnął — a ja ledwo ruszać się mogę, poturbowali mnie, pobili, wyrzucili jak ścierwo. Degelusa nie widziałas?

— Nie, nie przyszedł tu wcale.

— Tchórzysko! opuścił mnie, uciekł ze strachu przed nahajką chłopską. Dam ja mu!

Potaczając się Kurdel obszedł pokój i nagle ryknął:

— Um Gottes Willen! Zbóje i mnie okradli!
Rzucił się z impetem ku kryjówce za łóżkiem,
nikomu nie znajomej, którą sam zmajstrował.
Była wypróżniona.

— Pieniądze! dolary! miliony! Miliony — porwał!

Zatoczył się jak pijany, oczy mu krwią nabiegły, sapał.

Klara mu wtórowała głośnym szlochem i lamentem.

Nagle Kurdel podniósł się, uderzył się palcami po czole.

— Aha! już wiem... już wiem... nikt inny, tylko on!

— Kto? kto? — spytała Klara, odejmując chustkę od oczu.

— Degelus!

— Degelus? Jur, co też ty gadasz, czyś zwa-
rjował? jak możesz Franca posądzić?

— On jeden tylko wiedział o moich zarob-
kach i tej kryjówce. Przed nim nie tailem się,
owszem pokazywałem mu banknoty, aby cie
wziął...

— Mnie! wedle banknotów?

— No naturalnie... czyś przypuszczała, że
same twoje wdzięki mu wystarczą?

— Ależ Jur! gadałeś sto razy, że Degelus mi-
ljoner!

— Miljoner! może być każdego dnia, bo bestja
sprytna, on tylko, on jeden mógł to zrobić...

— Czyż nie był z tobą na wiecu? Przecież
poszliście razem.

— Tak, ale uciekł... widząc, że zanosi się na
klapę, uciekł! Na moim rowerze w dodatku,

wpadł tu i nie zastawszy nikogo, porwał wartościowe rzeczy, pieniądze i dmuchnął w świat.

— Jur! zamiast Franca posadzać, powinienes się przekonać, czy go niema „pod Gwiazdą“...

Kurdel wstał, podszedł do lustra i stęknął. Woda przemył twarz i oczy, przebrał się.

— Donnerwetter! jak mnie gnaty bolą — jęczał — trudno mi będzie dojść „pod Gwiazdę“.

— Pójdę z tobą. Ach! Jur, czemuś mi nie dał wyjść za Tomka. Byłby mnie brał bez banknotów, bo ten mnie prawdziwie uwielbiał.

— A zato dziś przeklina! Dureń! Pierwszy pobuntował na mnie tamtych osłów! Zmówili się kupą, nie można było im dać rady. Teraz nie mam tu już co robić. Kanalja! pieniądze brali, nudzili procesami, skargami, klótniami — a teraz braciszku, masz zapłatę za twoje fatygi! Jutro rzucam wszystko i jadę do Berlina!

— Jur! zmiłuj się — a ze mną co?

— Możesz się pocieszyć z Sośnikiem, albo padnij na kolana przed Brylem.

— Pojadę z tobą — rzekła Klara dobitnie. — Jeśli mnie nie będziesz chciał zabrać, to...

-- To co?

— Oddam siebie i ciebie w ręce policji.

Kurdel wzdrygnął ramionami.

Zamilkli oboje i szli dalej, on postępując, Klara z miną pokutnicy.

W lokalu „pod Gwiazdą“ już było ciemno i nie mogli długo dodzwonić się, wreszcie ukazał się zaspany portjer i na pytanie, czy pan Degelus jest w domu, odburknął zirytowany, że go niema, że wpadł tylko na parę minut do siebie i wyleciał szybko, jakby go kto gonił, albo paliło się...

Kurdel spojrzał porozumiewająco na Klarę, która drzeć poczęła niby w febrze.

— Nie powiedziałem ci — rzekł, gdy im portier drzwi przed nosem zatrzasnął — ta świnią nas ograbiła. Ich kenne meine Pappenheimer!...

Klara powtórzyła: „Świnia!“ i przytulając się do ramienia Jura, coś szeptać poczęła.

Zaśmiał się djabelskim śmiechem.

— Ty i ja do tego samego gatunku należymy i dlatego, Klärchen, damy sobie radę i bez Dege-lusa!

— Ach! ale kto mi wróci moje złotości!...

— Nie wiem... Poszukamy ich w innej części Polski!

Skoszony kwiat...

Słoneczna pogoda uśmiechnęła się do ludzi. W Wielkodomicach robota na polach szła ocho-cho. Na każdym wozie, turkocącym w przyśpieszonym tempie, siedział ułan i uśmiechał się do przygodnych pracowników z miasta L., lub do gospodarskich cór, które zgłosiły się do pańskich żniw. Wielu zbuntowanych już od świtu uderzyło w pokorę, prosząc, by ich przyjęto zpowrotem do pracy. — Snopki tylko tak śmigały w powietrzu, a stogi rosły, rosły w oczach...

W komnacie, gdzie spoczywał Julek Domicki, jakby na urągowisko słonecznej urodzie dnia, czaiło się cierpienie, przytłaczając swem brzemieniem nie tylko chorego młodzieniaszka, ale i tych, co całą duszą pragnęli go wyrwać z objęć śmierci...

Biała jak gołąbek staruszka godzinami siadywała przy wnuku, poruszając automatycznie głową. Plakało w niej serce babki, serce Polki i dobrej pani, która w ostatniej dobie życia widzi, że za dobroć, za miłość, za serdeczną troskę o bliźniego, odplacono jej niewdzięcznością. Czyż traf to był nieszczęśliwy, że wnuk padł ofiarą zawichrzeń... Coś stargało się w nim... zerwała się jakaś struna zbyt przeciągnięta i mało było nadziei utrzymania chorego przy życiu.

Szloch głuchy wydarł się z piersi Julka. Czyjeś dobre ręce przyłożyły mu chłodzący kompres na serce. Odetchnął lżej — otworzył oczy.

— Babciu — szepnął — czy jesteś przy mnie?

— Tak, synku, jestem.

— Och! Babciu, jabym nie chciał umrzeć w tej chwili... Byłoby mi tak smutno odejść... teraz właśnie...

— I ja proszę Boga, byś żył. Młody jesteś, Julku, przetrzymasz chorobę... trzeba być tylko bardzo cierpliwym.

— Wszyscy to mówią. Czy to dziś był ksiądz u mnie z Panem Jezusem? Już nie pamiętam...

— Dziś rano... spowiadałeś się, synku.

— To dziwne. Żadnej mi pokuty nie dał, tylko kazał powtarzać ciągle... ciągle... Fiat voluntas Tua... Czy mogłabyś, babciu, powiedzieć: Bądź wola Twoja, nawet wówczas... gdyby Polskę na nowo...

— Cicho! nie kończ! Niezawodnie, synku. Zawsze i wszędzie. Toż w tem poddaniu największa potęga i piękność wiary naszej — toż ufność, że Bóg wie najlepiej, co dla nas dobre i zbawienne, daje nam siłę do dźwigania choćby największego

krzyża. Dziś, Julku, trzeba nam na klęczkach dziękować Bogu — bo wszakże mamy wolną Polskę.

— Babciu! Wolna Polska! ależ jakaż inna... och, jakaż inna!

— Ta sama, synku, ta sama. Szlachetna, bohaterska, gotowa do wszelkich poświęceń i cudów ofiarności, tylko długą niewolą rozdarta, rozdwojona... tylko bez właściwych przywódców i obcemi hasłami przewrotu przesiąknięta...

Julek rękę babki przycisnął do ust... Błady uśmiech przewinał się po smutnej twarzy...

— Moja pocziwa, święta, kochana babcia! Wszedł Stanisław Domicki.

— Nie śpisz, Julku?

— Nie, tatko...

Usiadł przy łóżku syna i jał mu opowiadać:

— Wiesz, już całe dwa pola od Leciewa zwiezione; za dwa, trzy dni skończymy zwózkę.

— Jak to dobrze, tatko...

— Od wczoraj wszyscy jak jeden mąż powrócili do roboty.

— Ach! wszyscy!... Leduch i Frymek też, tatusiu? Niechże pan Bączkiewicz cofnie terminatki — ja proszę, ja bardzo proszę...

— Powiem mu, że sobie tego życzysz, Julku — i wiesz, dziś dostałem sążnisty list od wiecowników w S. Wyrzekają się strajków, występują z związku X. i życzą ci jak najprędszego wyzdrowienia.

— Tatko! — co za radość — co za pociecha, przed... nie spodzie...wałem... się.

Umilkł. Na chłopięcej wyniszczonej twarzy osładł wyraz zadowolenia.

Nazajutrz Julkowi było lepiej; oddychał rażniej. Dopytywał się z najwyższem zajęciem o żniwa, chciał czytać list włościan, śmiał się z porażki Kurdela.

— Nikomu źle nie życzę — mówił. — Bóg mi świadkiem, że przebaczam wrogom, ale temu nie-szczęśnikowi należała się nauczka.

— Rózo! mnie lepiej — wiele dziś lepiej... ale tak sobie myślałem, gdybym umarł, daj Wojciechowi Kołodziejowi moje futro... przyda mu się, skoro pilnuje robót na polu i marznie. Tomkowi podziękuj za to, że mnie bronił... Przeproś, daj mu — daj mu — coby to mu dać? aha! obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Niech go strzeże na przyszłość od wpływu złych ludzi.

— Julku! za dużo dziś mówisz — strofowała go siostra — lekarz zalecał, abyś miał jak największy spokój.

— O, będę spokojny, ale dopiero, gdy się z Edziem rozmówię.

— Wyjechał w sprawach służbowych do L., lecz obiecał wrócić wieczorem.

Dwa dni upłynęły bez zmiany. Julek poczęści drzemał, mniej zrywał się przez sen, otucha wstąpiła do kochających go serc.

Na krótko — bo nagle chory zaczął widocznie słabnąć. Doktor Przecławski, przyjaciel domu, nie taił przed ojcem, że stan chłopca jest groźny.

Stanisław Domicki jęknął — siwą głowę ukrył w dłoniach.

— Trzeci syn! trzeci syn... — powtarzał zdławionym głosem.

Edward, sam do łez wzruszony, począł wuja ścisnąć, zlodowaciałe ręce jego obsypywać pocałunkami.

— Odwagi, wuju! — szeptał — jeszcze tak źle nie jest, lekarze często się mylą...

I biedny ułan, który widział bez drgnienia, jak pod gradem kartaczy śmierć wkoło niego kosiła młodych zuchów, tu nie mógł patrzeć na boleść ojca, babki, siostry, a widok gasnącego młodzieńczyka rozdzierał mu serce.

Biegł od wuja do Róży, która oparta o okno, cicho łkała.

— Najdroższa moja — moja!

Więcej mówić nie mógł. Brała go szalona ochota wziąć ukochaną w ramiona, przytulić do piersi — scalać łzy, płynące z oczu...

— Edzio! czuję, że to koniec... Trochę mi żal... I po chwili:

— Edzio! niech nikt nie dowie się, co mnie dobiło... Sam byłem winny, powiedziałem to księdzu... za szorstki dla nich... Ty wiesz... ciągle im prawią, że my tacy niegodziwi, więc coś dziwnego, że rzucili się na mnie... Ciężko mi... odechnąć... Jak dobrze, że tu jesteś, weź moich w opiekę... pociesz... tatkę...

— Czy jest tu Róża?...

— Jestem, Juleczku... życzysz sobie czego?

— Płaczesz? Podaj mi rękę. Edzio, i ty mi podaj swoją... tak, dobrze... bądźcie szczęśliwi!... i — Polska!...

Oczy rzucające blaski niepokoju zamknęły się. Raz po raz chciał się podnieść, bełkotał niewyraźnie.

— Tatko... biedny tatko... Mar—ce—li... szkoda! Trzeba mi iść... dalej — wstanę... dalej... dalej —

Potem odwrócił się do ściany i zamilkł.

Jeszcze raz powieki drgnęły, spojrzał w górę.

— Babciu! ratuj... Bądź wola... bo—li — —

Uniósł się na łóżku, wypreżył, wyciągnął ręce, jakby chciał coś niewidzialnego uchwycić, i opadł nawznak.

Jedno przeciągłe, głębokie westchnienie — i Julek nie żył.

Swaty wuja Wojciecha.

Wiatr dał ostry, zalewając łzami oczy Wojciecha Kołodzieja, który śpieszył ku wsi. Od śmierci panicza postarzał i posmutniał, choć był w sile wieku.

Wprawdzie strajk wziął w łeb i ogólnie był potępiony, ale kto wróci miliony, stracone dla kraju, zachwiane zaufanie starszej braci do młodszej?

Wojciech Kołodziej na myśl o Kurdelu, Sośniku itd. zaciskał ręce i żegnał się szybko, aby jakie przekleństwo nie wyleciało z ust, przepojonych goryczą.

— A! gałgany! — mrucał — lżej mi byłoby krzyżakowi przebaczyć, niż wam, wyrodnym synom.

Obecnie dwa cele przywiązywały jeszcze do życia starego Kołodzieja: wybory, które się miały odbyć w listopadzie i ożenek ukochanej siostrzenicy Jagny Doleżówny.

Od czasu porażki i zniknięcia Kurdela et comp. codzień któryś z jego stronników zgłaszał się do partji pojednawczej i umiarkowanej. Przyjeżdżali wprawdzie na rowerach nowi prowodyrzy, rozdawali odezwy, piętnujące klasy zamożniejsze, ale w Wielkodomicach nie robiło to już wrażenia. Sromotna ucieczka Kurdela, wykrycie różnych szpiegostw i przekupstw, odstręczyły najzaciętszych fanatyków od nowoczesnych proroków i wywrotowych haseł. Wielkodomice uważał za wyleczone na długi czas z burd i buntów; czarne kiry, powiewające nad trumną niewinnej ofiary strajku, jego słowa przebaczenia na łożu śmierci, rzuciły na serca tych ludzi, wyrosłych pod wspólnym niebem rodzinnym, cień zadumy, żal nad zmarnowaniem młodem życiem i wstręt do dalszych niesnasek i waśni.

W szarzyźnie zbliżającej się jesieni, inna troska dręczyła Wojciecha Kołodzieja, odbierając mu spokój. Wiedział o serdecznem kochaniu Jagny, i o tem, że od czasu nawrócenia się Tomka, miłowanie dziewczyny spotęgowało się jeszcze, ale nie miał żadnych danych, by to silne uczucie było odwzajemnione. Szedł więc na zwiady — ot tak, sam od siebie popytać Bryla, wybadać go, pociągnąć do zwierzeń, a jeśli się okaże, że Tomek serce miał równie wyleczone jak duszę — odsłonić przed nim rąbek tajemnej i wiernej adoracji dziewczęcej. Zastał Tomka przy pracy w polu, i teraz mógł mu powinszować korzystnych zmian, zaszłych w uprawie ziemi, na której jako wieloletni włodarz znał się znakomicie. Po długiej gawędce o przyszłych wyborach Wojciech chrząknął i odezwał się, jakby od niechcienia:

— Powinieneś teraz, bracie, myśleć o ożenku. Niedobrze jest człowiekowi żyć samemu.

Tomek smutno spuścił głowę:

— I mnie nieraz cni się do kobiety, zwłaszcza odkąd matka pomarli, ale poprawdnie, to nie śmiałbym zbliżyć się do żadnej porządnej dziewczyny. Muszą przecież mną gardzić po tem, co zaszło.

— E! co tam gadać! Ładny chłopak jesteś i młody. Toć masz całe lata przed sobą, by odmienić trochę burzliwą przeszłość i stać się porządnym człowiekiem. Chyba, że ci jeszcze ta panna Klara w głowie świta?

Tomek wzdrygnął się.

— Nie! przepadła dla mnie na zawsze. Choć powiem wam otwarcie, że próbowała pisanem przyciągnąć mnie do się napowrót, alem list podarł, do pieca cisnął, by mnie znowu rozumu nie odebrała. Zaś w tych krwawych płomieniach zgasło wszelkie moje kochanie i dziś mi ona całkiem obca.

— Powiadasz, żeś zerwał wszelkie grzeszne stosunki z tą pannicą mało wartą i z całą tą bandą łotrzyków, co cię do złego ciągnęli, aleś może duszy dokumentnie nie wyprał w konfesjonale.

— Nie — westchnął Tomek — jakoś mnie coś odpycha do domu Bożego i ciężkoby mi to przyszło zrobić, tylem się nasłuchał bezecnych opowieści... tak i wiara mi się zachwiała.

— A widzisz, bracie! to jest powód twojej żalności i smutku, co ci na wątrobie usiadł i tak cię gryzie, że ci nawet chęć do życia odebrał; bo choćbyś się z całym światem pokumał, jeśliś

z Bogiem zerwał, nie możesz nijakiego szczęścia we wnętrzu zaznać. Tomku! daj mi obietnicę, że pójdziesz choćby zaraz jutro pojednać się i przeprosić Chrystusa za wszystkie bluźnierstwa, za to odstępstwo od wiary przodków i brzydkie swawole, a ja ci coś powiem, coś zdradzę, co cię z pewnością do życia zbudzi i słodkością serce napełni.

Tomek wstał i rzekł stanowczym głosem:

— Jutro ze świtem pójde do spowiedzi.

Wojciech wziął go w objęcia i wyściskał.

— Udałeś mi się, chłopie, to mi się podoba! A teraz cię pytam, czy wiesz, że jest dziewczucha, która ginie za tobą i choć zadawałeś się z inną i broiłeś, ona cię zawdy brała w obronę i gotowa wszystko przebaczyć?

Tomek zerwał się na równe nogi i krzyknął:

— Jagódka!

— Ona właśnie, i powiem ci, Tomku, to skarb nie dziewczyna.

— Człowieku! — rzekł Tomek, zbliżając się do Wojciecha. — Czy wy mnie nie ogłupiacie? Mogłaby Jagna jeszcze mi sprzyjać? Wszakżem ją porzucił, okradł? Czy zapomnieliście sprawę milionówki?

— E! co sobie miłująca dziewczyna robi z papierków! Twego kochania żąda, a nie pieniędzy. Jagna mogłaby przecie zrobić dobry ożenek. Onegdaj znów uciekła do nas przed Kubą Fryd czakiem, który do niej koperczaki smali, i w bek, że jej się nie podoba, że woli wcale nie być za mężem, niż iść za takiego, do którego nie ma

serca. Więc wyszedłem za nią, by ją uspokoić i pytam, czemu nie lubi Kuby? A ona uchwyciła moją rękę i ścisnęła ją.

— Wujku — mówi — sądziłam, że ty jeden mnie rozumiesz i weźmiesz w obronę, ja nigdy bez kochania nie wyjdę za nikogo, bo już takie głupie mam serce, że zapomnieć nie potrafi.

Jużem się jej więcej nie pytał, bo wiedziałem, kogo ma na myśli, tylko powiedziałem sobie tak: Pójdę do Tomka i dowiem się, jak tam z jego sercem, czy to licho, ten dur trwa jeszcze, bom zauważył na polu, w czasie strajku, żeś Jagny unikał...

Z oczu Tomka strzelił płomień.

— Ot, powiem wam szczerze. Choć byłem okrutnie zadurzony w Klarze — tfu! Panie Boże przebacz! — to mi Jagna zawsze stała w pamięci i gdym ją spotkał, tak ci jakoś miękko robiło się na sercu i żal chwytął, że to się nasze drogi rozminęły...

— A widzisz, człeku, sam przecie byłeś temu winny...

— A no, prawdać sam. Wielką też mi było pociechą, że Jagna nie wychodzi zamaż... Skoro jednak później ten papier zabrałem matce i oni pomarli, to sobie zaprzysięgłem nie spocząć, aż pół miljona nie zwrócę Jagnie, a pół dzieciom po Jóźce. Tam w matczynej skrzynce już prawie większa połowa złożona. Odtąd wołałem na Jagnę nie patrzeć, bo mnie wstyd palił, że to dziewczynie tyle grosza zmarnowałem...

— Głupiś był Tomku! innaby cię może o tę miljonówkę znienawidziła, ale nie Jagódka!

Tomek wstał, schylił się i całując Wojciecha w ramię, rzekł wzruszonym głosem:

— Jeśli mi ją dacie, Wojciechu, klnę się na Boga, że potrafię ją uszanować i strzec będę jak oka w głowie.

— Wartna tego, Tomku, znam ją od dziecka i kocham jak rodzoną siostrę. Zajdź do nas w niedzielę, masz jeszcze parę dni namysłu, bo co nagle, to po djabie — więc dobrze rozważ sobie. Gdy przyjdiesz do nas, rozmówcie się z Jagną, tak od serca, jak dawniej, po przyjacielsku.

— O Jezu! czy tylko przyjść zechce?

— To już moja rzecz; obaczysz sam, jak cię przyjmie. Tymczasem zostań z Bogiem, a przede wszystkim z Bogiem się pojednaj.

— Możecie na mnie liczyć, jutro ze świtem pójdę do kościoła.

Wesele — wesele!

W połowie listopada, gdy Wielkopolska odczłnęła po wyborach, dla niej pomyślnych, kościołek wielkodomicki tonął w jasnej zieleni. Nad ołtarzem Chrystus obejmujący miłośnie pokutnika, występował plastycznie z ram obrazu, wśród kwiatów ponsowych świateł — i zdawał się wyciągać litościwe ręce, nie tylko do tego zbłąkanego pielgrzyma, ale do wszystkich wiernych, garnących się do boskich Jego stóp...

A w świątyni było ich pełno: bo oto dwie pary łączyły się na życie całe. Edward Brochocko-

Domicki, rotmistrz 17 pułku ułanów z Różą Domicką i Tomasz Bryl z Jagną Doleżówną.

Ks. prałat, krewny po kądzieli Edwarda, przemówił od ołtarza, wiążąc stulą młodą parę — a nieco później miejscowy kapelan błogosławił związek małżeński Jagny z Tomaszem Brylem.

Po sutej uczcie, wyprawionej przez Różę dla wiejskich weselników, barwny, roztańczony korowód, wśród kwiatów, dźwięków skrzypiec, odgłosu dudów, pociągnął na wieś do babuli Kolodziejowej.

Tomek pijany szczęściem szeptał do ucha rozpromienionej Jagny.

— O Jaguś moja! widzę teraz, ilem błogich chwil zmarnował, unikając cię! dłużej mi nie żyć bez ciebie. Już nas teraz nic nie rozdzieli. Prawda?

— Nie, Tomku mój jedyny.

— Pójdiesz za mną do ojcowej chaty na wieczyste i mocne, kiej sama śmierć kochanie...

I radośnie złączeni — szli razem białą nocką ku szczęściu.

A we dworze — druga para przytulona do siebie, słuchała tonów skrzypiec napływających z oddali. Powab nocy księżycowej owionął ich czarem. Serce Róży — łkające dziś raz po raz, pod wpływem świeżych przesmutnych wspomnień — odczuwało atmosferę miłości i ciepła, którą otaczał ją wybrany. Byli sami. Nieliczna — z powodu żaloby — garstka gości, rozproszyła

się po salonach. Edward przyciskając głowę żony do piersi, mówił wzruszonym głosem:

— Najdroższa! od dnia naszych zaręczyn chodzę jak we śnie... we śnie tak cudnym, iż nie chciałbym nigdy być zbudzonym... Patrz! patrz co za widok!

— Wielkodomice chcą się tobie przedstawić w najkorzystniejszym świetle... Edzio! ty będziesz je kochał — i tych tam!

Wskazała ręką wieś.

— Byłem dotąd duszą i sercem wojakiem — odparł z prostotą — mało stykałem się z ludem, nie przypuszczając nigdy, że zamienię ukochaną szablę na — lemiesz...

— A teraz? — spytała tuląc się do jego ramienia.

— Teraz — twoje szczęście Rózo, droższe mi nad wszystko. Życia mi nie starczy, aby odwdzińczyć się ojcu za okazane mi zaufanie. Bądź pewna, że odtąd każda piędź ziemi wielkodomickiej i każda chata stanie się dla mnie świętością, której będę strzec, bronić i kochać całym sercem.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— O ty mój, mój najlepszy! — Edzio! ja już tyle życzeń wypowiedziałam dziś tobie, a ty, ani jednego. Powiedz czego sobie życzysz?

— Ja? — zaśmiał się młodym serdecznym śmiechem, który zawdzięczał niby pobudka życia i echem triumfu rozbrzmiewał w pustych komnatach, — ja?... widzieć codzień, aż do śmierci szczęście w tych dobrych, ślicznych oczach, które na mnie spoglądają zdziwione i odbierają mi równowagę — porwać i trzymać blisko przy ser-

cu, to moje jedyne najdroższe kochanie! — uniósł Różę jak małą bezbronną ptaszynę i złączeni miłością poszli razem ku — szczęściu.

Z chaty Kołodziejów nadlatywały coraz słabsze dźwięki skrzypiec... z wyiskrzonego gwiazdami nieba spłynął na ziemię, szarpaną tak niedawno zobopólną nieufnością — pokój Boży.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
U babuli	1
Spotkanie	7
U Kurdelów	15
W starym dworze	22
Dwie miłości	39
W szulerni	46
Pokusa	49
Zgryzota	55
List Julka Domickiego	62
Numer 0050 050 wygrał	63
Bez maski	71
Oglupiona brać	81
Stara gwardja broni plonów	84
Teror i gwałty	90
Walna rozprawa u Szczutki	102
Trafił frant na franta	110
Skoszony kwiat	114
Swaty wuja Wojciecha	119
Wesele — wesele	124

~~**M U Z E U M**
Edmunda Bojanowskiego
w Grabonogu
B I B L I O T E K A~~

OGROMNY WYBÓR KSIĄŻEK DLA MŁODZIEŻY

Najulubieńszych Autorów Polskich i Obcych.

Bogdanowicz, Czeska, Domańska, Dyakowski, Margert, Korsak, Rosinkiewicz

Cooper, Finn, Marryat, Verne, Wells.

Żądajcie do przejrzienia!

W Poznaniu :

w Księgarni św. Wojciecha

Plac Wolności 1.

W Warszawie:

w Księgarni M. Szczepkowskiego

Al. Jerozolimska 39.

W Wilnie :

w Księgarni św. Wojciecha

Ul. Dominikańska 4.

W Krakowie :

w Księgarni Krakowskiej

Ul. św. Tomasza 35.

W Lublinie:

w Księgarni św. Wojciecha

Krakowskie Przedm. 43.